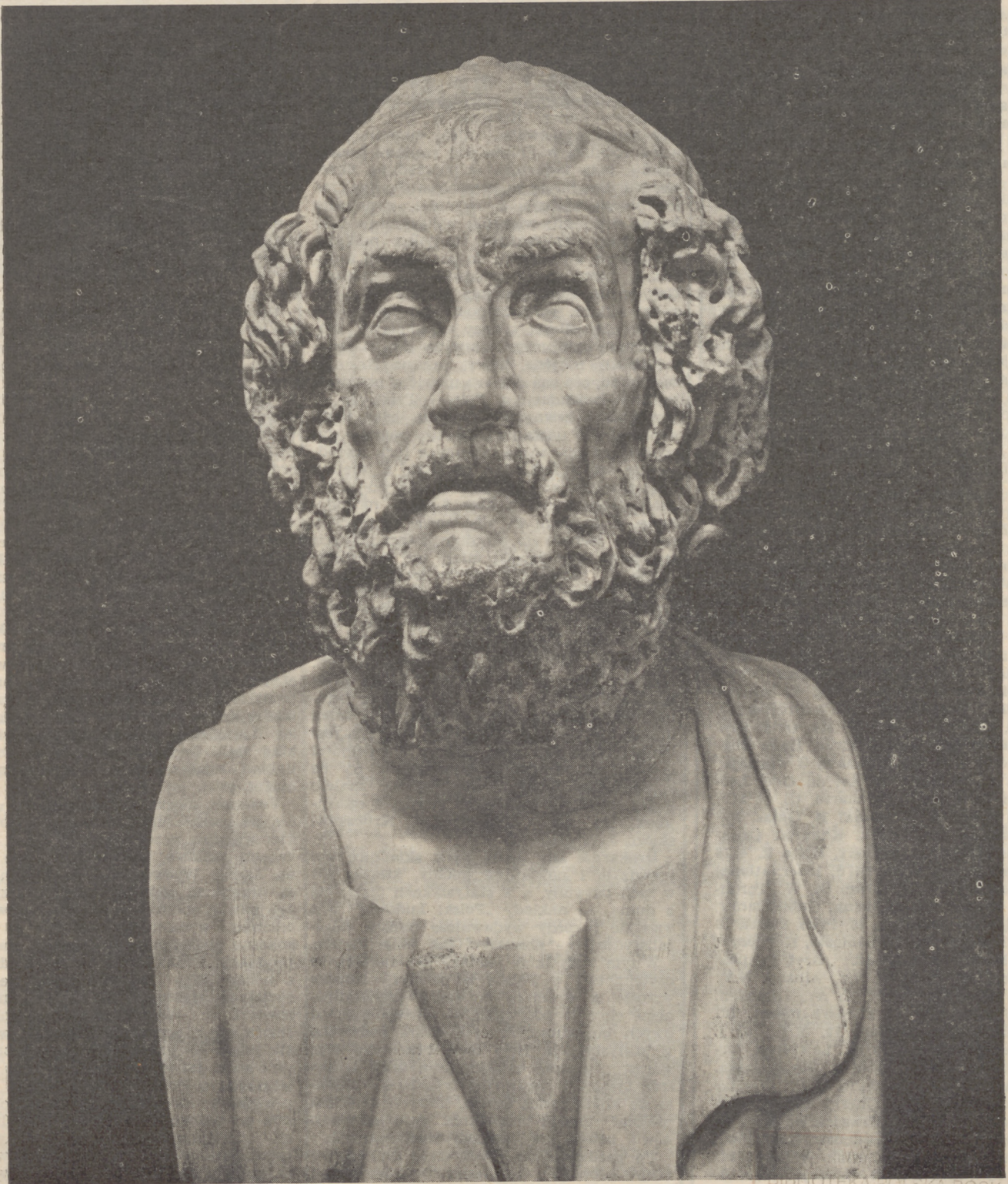


ŻYCIĘ

ROK XI — NR 31/32 (528/529)

NIEDZIELE, 4 - 11 SIERPNI 1957.

Cena 2/-



HOMER — Kolekcja Farnese, Muzeum Narodowe w Neapolu

BIBLIOTEKA POLSKA POK
(fot. Anderson, Roma)

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefon: AMBassador 6879; PADDington 9734
Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata (płatna z góry): miesięczna: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.
Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia”. Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 lin — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spotem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park. Adelaide, S.A.: E. Treister, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Anne Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, København S. Francja: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Sulte E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto. Niemcy: St. Mikuluk, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. Norwegia: B. Łubinski, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. Szwecja: Mgr. B. Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. Włochy: Mme Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C Roma.

PUNKTY WIDZENIA

KSIĄŻKA W PAŃSTWIE „SOCJALISTYCZNYM”

W ostatnich dwunastu latach ilość wydanych w Polsce książek była bardzo wysoka. Wysokie były również i nakłady. Statystyki donosiły, że podwyższyło się niesłychanie również i czytelnictwo, przy czym samochodowe komentarze komunistyczne wskazywały na to, że takie zawrotne cyfry czytelnictwa możliwe są jedynie w „ustroju socjalistycznym”.

Jak wszystkie inne statystyki ustrojów komunistycznych, i te, dotyczące wydawnictw i czytelnictwa w Polsce, miały swoje wstydlive kulisy. Książka w tym ustroju jest subwencjonowana. Jest subwencjonowana również w Polsce pod rządami komunistów, była zwłaszcza w poprzednim okresie. Nie liczyło się zapotrzebowanie, nie grało roli zagadnienie poczytności, wydawano to, co z punktu widzenia politycznego było potrzebne. Dochodziła specjalna polityka personalna w stosunku do posłusznych autorów i premiowanie zamównych tematów. Gdy partia komunistyczna chciała lansować swego autora, wyznaczano nakład jego książki na sto, czy więcej tysięcy egzemplarzy. Honorarium było proporcjonalne do nakładu.

Nakłady potężne, nawet jak na stosunki zachodnie, co zaś dopiero mówić o przedwojennych nakładach w Polsce! Tylko, że to wszystko z zewnątrz jedynie było takie wspaniałe. Z nastaniem odwilży zaczęły wychodzić na jaw różne tajemnice tych metod. Pewne części nakładów od razu, z miejsca były przeznaczane np. do bibliotek wiejskich, które teoretycznie zostały sero. so rozdawane. Z drukarni 40, albo nawet 60 procent nakładu jechało do składnic poszczególnych regionów, skąd książki miały być rozprowadzane do poszczególnych bibliotek w terenie. Ale „teren” albo nie funkcjonował w bibliotekach wykazanych na papierze, albo albo w tych, w których funkcjonował, nie chciał przeważającej ilości książek czytać. Nie chciał czytać przede wszystkim, tzw. „cegieł”, które w poprzednim okresie przeważnie wydawano: wielomilowy pism Lenina, ugniotów pisarskich Stalina, oraz setek innych zakalców i nudziarstw komunistycznych. Trzeba zaś dodać jeszcze dla pełności obrazu, że centralnie wyznaczano po ile egzemplarzy danej książki ma się znaleźć w tej czy innej bibliotece: Lenina 6 egzemplarzy, Stalina 8, Brandysa 4, Kruczkowskiego 3, powiedzmy.

Drukarnie szły pełną parą, składnice wojewódzkie i powiatowe puchły, książki zas w nich butwiały, a w statystykach pisało się z dumą, że nakłady „Polski Ludowej” biją wszelkie rekordy wydawnicze państw kapitalistycznych. Oszustwo, jak wiele innych. Z tym wszystkim jednak, jest faktem, że czytelnictwo w Polsce w pewnych stopniu wzrosło w stosunku do stanu przedwojennego, choć — oczywiście — dalekie było od owych buńczucznych cyfr, które podawano w statystykach. Były dwie przyczyny tego wzrostu: taniósć książki, oraz fakt, iż wśród tysięcy wydawanych tytułów znajdowało się kilkadziesiąt takich, których czytelnik pragnął, przede wszystkim wydania klasyków i pewna ilość książek współczesnych.

Po październiku, gdy zaczęto szukać sposobów uleczenia życia gospodarczego Kraju, dobrano się również do spraw wydawniczych. Postanowiono zaprzestać dopłat do produkcji papieru, co znacznie podniosło jego

cenę, ogłoszono, że ścięte zostają miliardowe subwencje dopłacane do gazet, periodyków i książek. Zadeklarowano zasadę „rentowności wydawnictw”, czyli że mają się ostać tylko te pisma i tylko te książki mają być wydawane, które znajdują nabywców. Wszystkie te zarządzenia spowodowały znaczne podrożenie pism i książek.

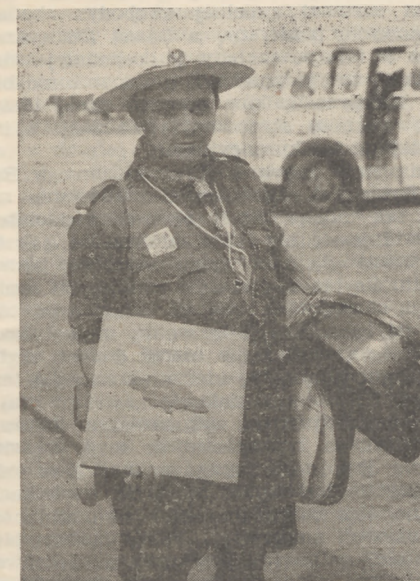
Wydawałoby się, że zasada rentowności jest zdrowa i że po okresie przejściowym z subwencji do samowystarczalności, st. sunki wydawnicze w Polsce ułożą się pomyślnie. Niestety, w Polsce w dalszym ciągu panuje us. rój „socjalistyczny”, a ten i teraz także znanym terminom podkłada odmienną treść. To, co w Polsce ma być zastosowane w dziedzinie wydawnictw, jest co prawda zasadą rentowności, ale rentowności w komunistycznej interpretacji z różnymi dodatkowymi uzupełnieniami. Prasa w Kraju pełna jest w tej chwili narzekan na to, co się w istocie z tych wszystkich reform wydawniczych zrobiło.

Utrzymano więc w dalszym ciągu centralistyczny monopol Domu Książki, który jest jedynym dystrybutorem książek w Kraju. Dom Książki zamawia od poszczególnych wydawców określone nakłady książek. W rzeczywistości dyktuje więc politykę wydawniczą. Ale nie jest to jedyne ograniczenie. W rejonach ministerialnych działa tzw. Centralny Zarząd Wydawnictw, który ma koordynować wszystkie elementy produkcji książek, papieru, drukarni, introligatorni, w praktyce zaś orzeka, czy dana książka może ukazać się na rynku.

Gdy wydawca planuje wydanie jakiejś książki, musi wprawier początnie bardzo wiele mozonych zabiegów. Naprzód musi zgłosić w odpowiednim biurze tytuł książki, maszynopis i wypełniony kwestionariusz; po czym czeka na pozwolenie. Czekania nieraz kilka lub kilkanaście miesięcy. Wiele razy przychodzi odmowa. Aby było ładnie, odmowa przychodzi w postaci wstrzymania przydziału papieru. Jeśli jednak pozwolenie przychodzi, trzeba złożyć podanie do Domu Książki, aby się dowiedzieć, jaki będzie zamówny nakład. Jeśli Dom Książki zamówni zbyt mały nakład, książka się nie będzie opłacać, nie można więc jej wydać.

Pozornie zliberalizowano sprawy wydawnicze po październiku, w praktyce totalitarne kierownictwo pozostaje w dalszym ciągu w rękach państwa, ponieważ zarówno Centralny Zarząd Wydawnictw jak i Dom Książki są organami państwa komunistycznego. W tej chwili spowodowano dwa zjawiska na odinku wydawnictw książek w Polsce: znaczne podrożenie cen książek, oraz ścięcie produkcji wydawniczej na nadchodzący rok o ponad 30%. Gdy się zwąży, że w tych obciążonych granicach muszą się zmieścić obowiązujące wydawnictwa „ideologiczne” (może nie w poprzedniej masie i wysokości, ale mimo to wszystko to bardzo znacznych ilościach), łatwo zrozumieć alarmy pism literackich w Polsce, które uważają, że — co prawda w stosunkach wydawniczych nastąpiła po październiku pewna liberalizacja — ale zrekompenrowano ją w inny sposób, przez ograniczenie w ogóle możliwości wydawania tych książek, które czytelnik w Polsce naprawdę chce czytać, lub daleko idące zredukowanie ich nakładów.

J.K.



Do Sutton Park (Warwickshire) zjeżdżają się z różnych stron skauci na międzynarodowy zlot (jamboree), planowany od 1 do 12 sierpnia. Horacy Abrahams, jeden z sześćdziesięciu skautów przybyłych z Jamajki, piastuje pod pachą dwie płyty ze skomponowanym przez siebie „Calypso”. Jamajski skaut marzy o tym, ażeby je wręczyć Królowej Elżbiecie, której wizyta przewidywana jest w Sutton Park w czasie „jamboree”.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

| | |
|--|--------------|
| STRONICE RELIGIJNE (VII) | |
| Ułożona przez Ojca św. modlitwa za Kościół Milczenia | — str. 13 |
| Encyklika papieża wydana w 300-lecie męczeństwa świętego Andrzeja Boboli | — str. 13-15 |
| List pasterski Prymasa Polski po powrocie z Rzymu | — str. 15-17 |
| List pasterski Arcybiskupa Poznania | — str. 17 |
| W pierwszą rocznicę powstania w Poznaniu — ks. Solowiej | — str. 18 |
| Problemy Ziemi Odzyskanych — A. Z. | — str. 19 |
| Czyńcie sobie ziemię poddaną — T. Felsztyn | — str. 3-6 |
| Pycha żywota — J. Węgrzyn-Kościółkowska | — str. 7-8 |
| O Homerze i Odysei | — str. 9 |
| Autor „Marsza obozowego” — A. Pomian | — str. 10-12 |

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE

| | |
|--|--------------|
| Wystawa budowlana w Berlinie | — str. 20-25 |
| Zręczna taktyka rządu Wschodnich Niemiec | |
| Leningrad w oczach niemieckich | |
| Plan Badajoz (Hiszpania) | |
| Obciążony wywiad „Borgo di Dio” | |
| Protest duchowieństwa Turcji | |
| Punkty widzenia — J. K. | — str. 2 |
| Ludzie i zdarzenia | — str. 28 |
| Stosownie do zapowiedzi (w nrze 30/527) wydajemy bieżący numer w objętości zwiększonej, z datą 4 i 11 sierpnia. Numer następny ukaże się na niedzielę 18 sierpnia. | |

„CZYŃCIE ZIEMIĘ SOBIE PODDANĄ”*)

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Pojawienie się nowej formy energii, energii atomowej z jej poważnymi konsekwencjami dla życia i przyszłości całej ludzkości, wywołało wiele namiętnych dyskusyj, gwałtownych oskarżeń, zarliwych usprawiedliwień natury moralnej. Nigdy dotąd jeszcze ludzkość nie dysponowała tak olbrzymimi siłami przyrody, nigdy dotąd klucz do szam — nowej złotej epoki, czy też straszliwego zniszczenia — nie spoczywał w rękach tak małej garstki ludzi, od decyzji których zależą losy nie tylko z miliardów im współczesnych, ale i setek miliardów dotąd nie narodzonych pokoleń, które przyjdą po nas za setki, a może i tysiące lat.

Nie dziw więc, że rodząca się dziś epoka atomowa wzbudziła tak przeraźliwy lęk i tak wielką rozterkę zarówno w najszerszych kołach publiczności, jak i w szeregach specjalistów w ten czy w inny sposób związanych z jej zagadnieniami.

Zapewne, trudno rozstrzygnąć, ile w tych roztrząsaniach i nie kończących się dyskusjach prawdziwego moralnego instynktu, a ile pospolitego sobkostwa i lęku o własną skórę. Fakt jednak, że problemy moralne związane z energią atomową, stanowią poważną i nie schodzącą z łam prasy troskę najszerszych mas, jest sam w sobie pocieszający. Świadczy bowiem — że — mimo szkodliwego wpływu zmaterializowania życia i myśli ludzkiej — zdrowy instynkt moralny ludzkości nie uległ paraliżowi i że problemy zła i dobra są tak samo żywe dziś, jak były żywe we wszystkich epokach życia człowieka na ziemi. Jak słusznie bowiem twierdzi jeden z największych współczesnych psychologów Jung, poczucie zła i dobra, problem moralny i religijny, stanowią podstawową, nie dającą się wyeliminować część jawni ludzkiej.

W gruncie rzeczy, problemy moralne, jeżeli jednak spojrzemy na świat jako na nowym, a podstawy, na jakich opierać się musi ich rozwiązanie, są tylko odwiecznymi prawami moralności ludzkiej, mającymi swe źródła w prawie naturalnym i w przykazaniach Bożych. Cała trudność — jak zawsze, gdy z praw ogólnych przechodzimy do ich zastosowań praktycznych — polega tylko na pytaniu, jak te prawa ogólne stosować w danym konkretnym wypadku.

Zabobonny lęk. Dla wielu ludzi problem moralny jest nie tyle pytaniem co jest słuszne, a co niesprawiedliwe, ile jakimś zabobonnym lękiem przed nieznanym, tak właściwym naturze ludzkiej. Czy odkrycie owych tajemniczych sił przyrody nie grozi

ludzkości zagładą, czy nie budzimy z uspięnia sił, które dotąd trzymane na wodzy przedziwnymi prawami przyrody, obrócą się przeciw odkrywcy i ukarzą go straszliwymi klęskami, ba zagładą, za nieopatrzne zderzenie pieczęci tajemnicy? Czy nowe odkrycia atomowe nie będą puszką Pandory, której nie uda się nam już zamknąć, czy nie postępujemy jak ów uczeń czarnoksiężnika, który wyzwoił moce, jakich już potem nie zdołał opanować?

Obawa przed lekkomyślnym wdarcie się w niedostępną dotąd umysłowi ludzkiemu tajemnicę czegoś, co stoi już na granicy świętokradztwa, przekroczenia magicznego kręgu mocy, które wywrą zemstę nad człowiekiem za jego zuchwalstwo, ów lęk przed nieznanym błąkał się w umysłach ludzkich od samego początku badań atomowych. W pierwszej polskiej książce poświęconej problemom atomowym pisał znakomity fizyk polski, Białobrzęski, że kto wie, czy pierwsza próba człowieka przeprowadzenia przemian atomowych nie będzie równocześnie ostatnią chwilą istnienia naszej planety. Jak dziś wiemy, była to obawa ponna. A jednak, mimo wielu już doświadczeń, jakie mamy za sobą, strach przed rzekomo kosmicznymi skutkami doświadczeń atomowych pojawia się za każdym razem, ilekroć tylko postęp w naszych badaniach wyzwala siły o mocy większej, niż wszystko, co dotąd miało miejsce. W gruncie rzeczy jednak obawy te są nieuzasadnione i wywodzą się raczej nie z przesłanek rozumowych, a z atawistycznie wciąż tkwiącego w naszym umyśle myślenia magicznego, patrzenia na przyrodę, jako na siedlisko potężnych demonów, które trzeba ugłaskać ofiarami, lub które można nieopatrznie obrazić niewłaściwym podejściem.

Moralne podstawy badań naukowych. Jeżeli jednak spojrzemy na świat jako na twór Boga, rządzący się Jego prawami, zrozumimy, że wszystkie te nasze obawy nie mają żadnej podstawy. Od zarania ludzkości cała jej tak bogata i skrzęca się tyłu wspaniałymi epizodami, tyłu wzlotami myśli ludzkiej, tyłu przykładami ofiarności i bohaterstwa walka człowieka z przyrodą jest tylko realizowaniem Bożego przykazania, danego jeszcze Adamowi i Ewie w raju: „Czyńcie ziemię sobie poddaną”.

Czyńcie ziemię sobie poddaną znaczy nie tylko panować nad jej tworam i płodami, ale ponadto również i ujarzmić siły przyrody, wdzierać się potęgą umysłu ludzkiego w jej tajniki, szukać praw, jakie rządzą jej zjawiskami, sił, jakie drzemią w jej łonie, i wreszcie obracać te moce i siły przyrody na dobro człowieka.

*) Ostatni rozdział będącej w druku książki pt. „Atom w służbie ludzkości”.

Z tego więc punktu widzenia badania nowych źródeł energii, nowych sił i mocy, nie są moralnie bynajmniej złe, ale na odwrót są rzeczą dobrą i słuszną, gdyż są wypełnianiem przykazania, jakie Bóg dał człowiekowi w chwili jego stworzenia.

Jak każda jednak czynność ludzka, owe nowe badania mogą być zjawienne lub też zgubne, w zależności nie od ich treści, ale od nastawienia, z jakim człowiek przystępuje do tej pracy. Same badania, samo poznanie prawd Bożych ukrytych w przyrodzie nie może być nigdy moralnie złe, ani przynosić jakiegokolwiek szkody zdrowiu moralnemu człowieka. Każda bowiem nowa prawda cząstkowa przybliża nas tylko bardziej do Boga, który jest samą Prawdą. Widzimy to wyraźnie na badaniach atomowych, które obaliły wszystkie bez wyjątku przeszkody, jakie zarozumiałość i pycha zeszlowieczonych uczonych starały się budować, niby nowoczesną wieżę Babel, przeciw religii, wszystkie rzekomo „racjonalne” argumenty przeciw Bogu, wszelkie złudne miraż, jakimi małość i nierozsądek materialistycznych filozofów ludziły człowieka, sądząc, że potrafią zastąpić mu Boga.

Nie samo więc poznawanie jest złem, ale duch pychy, jaki często opanowuje człowieka, tak dalece zachwyconego wdarcem się na wyżyny, które dawniej uważał za niedostępne, że wydaje mu się, iż sam jest Bogiem i w rozumiałości swej odrzuca Boga, a w rozumie ludzkim widzi jedyne źródło wiadomości o świecie, jedyną normę postępowania.

Jeśli jednak badania przeprowadza się w duchu pokory, jeśli uczonej pracuje z rzetelnym umiłowaniem prawdy, ze zrozumieniem ograniczeń swego ludzkiego rozumu, jeśli — widząc potężne siły, jakie jego badania dały człowiekowi do dyspozycji — wielbi Boga, który tak wielką władzę dał człowiekowi, jeśli rozumie, że czyni sobie ziemię podwładną nie dla siebie, nie dla swej pychy, nie dla zaspokojenia egoistycznych pragnień jego bliźnich, jego współpracowników, lub — gorzej jeszcze — dla służby zgubnym dla ludzkości ambicjom jego władców, ale „ad maiorem Dei gloriam”, wtedy nawet najgłębsze jego wnikanie w tajniki przyrody przynosi tak jemu, jak i całej ludzkości nie zgubę i stratę, ale — na wrót — korzyść nie tylko materialną, lecz i o wiele od niej ważniejszą — korzyść duchową.

Wolność nauki. Rozwój badań atomowych pociągnął za sobą jednak i inne niebezpieczeństwo. Z jednej strony nowoczesne narzędnia, konieczne dla badań naukowych zwłaszcza w zakresie atomowym, są tak kosztowne, że nie mogą to już być urządzenia stanowiące własność poszczególnych jednostek, czy nawet zakładów naukowych, ale coraz bardziej stają się własnością państwa, czy nawet ciał międzynarodowych, jak europejska wspólnota atomowa zwana CERNem.

Ten fakt pociąga za sobą poważne ograniczenia swobody nauki. Zrozumiała jest bowiem rzeczą, że każdy właściciel, czy też dysponent tych urządzeń naukowych z natury rzeczy daje pierwszeństwo tym badaniom, które leżą w jego planie i zamierzeniach, lub też które służą celom, jakie on sobie wytknął. Tym samym uczonej, który chciałby przeprowadzić badanie luźno lub też wcale nie łączące się z zakresem zainteresowań dysponenta urządzeń badawczych, napotyka na wielkie trudności i często stoi przed dylematem albo zaniechania swoich badań, albo też podporządkowania się planowi prac danej instytucji, z uszczerbkiem dla wolności swoich badań naukowych.

Jest to problem bardzo zasadniczy. Jest to przede wszystkim sprawa natury moralnej, problem wolności jednostki ludzkiej, który dzieje ustroje wolnościowe od wszelakich ustrojów totalnych, bez względu na to, jaka jest ich barwa, nazwa, czy też hasło. Jest to zagadnienie podstawowe ustroju społecznego, jego punkt wyjściowy: czy społeczeństwo istnieje dla rozwoju osobowości tworzących je jednostek, czy na odwrót: osobowość jednostki ma być bez reszty podporządkowana rzeczywistości, czy częściej nawet wyimaginowanemu tylko interesom zbiorowości.

Ale i z punktu widzenia czystego interesu nauki problem ten ma wagę niezmierną. Nauka może się rozwijać tylko w warunkach pełnej wolności badań i teorii naukowych. Wszelki konformizm jest dla rozwoju nauki wręcz zabójczy. Największe postępy nauki zawdzięczamy tym uczonym, którzy wykroczyli poza granice ówczesnych poglądów świata naukowego. Ich teorie, jakże często początkowo odrzucone, lub nawet wyszydzane, stały się później podstawą nowych zupełnie dziedzin, nowych zasad naukowych. Postęp jest zawsze dziełem tylko jednostek, które potrafią wyrwać się z magicznego koła poglądów im współczesnych i stanąć do nich w silnej opozycji. Wszelka więc próba ukrócenia wolności badań naukowych byłaby równocześnie końcem postępu w nauce.

Tym bardziej więc ograniczenia badań naukowych do celów wyłącznie praktycznych, owe nierozumne hasło, jakie głoszą niektóre szkoły filozoficzne, że jedynym celem nauki i jedynym sprawdzianem słuszności głoszonych przez nią tez jest „praktyka”, a więc zastosowania nauki dla rozwiązywania takich czy innych problemów życia codziennego, byłoby końcem wszelkiej nauki. Najważniejsze odkrycia naukowe naszego stulecia, cała choćby epoka atomowa, zrodziły się z badań, które nie miały żadnego celu praktycznego na oku. Jaki cel praktyczny miała Maria Skłodowska Curie, gdy rozpoczynała swoje badania nad radem? Jaki cel praktyczny przyswieszciał Einsteinowi, gdy wygłaszał swoją teorię względności? Jakże były cele praktyczne badań nad promieniami kosmicznymi, które stanowią tak potężne źródło naszych dzisiejszych wiadomości o wnętrzu atomu?

Pytań takich można by mnożyć bez liku. A wszystkie one wskazują na jedno: że te właśnie badania, które w chwili ich rozpoczęcia nie miały niczego innego na celu, jak czyste dążenie poznawcze, stały się kamieniem węgielnym dzisiejszego panowania człowieka nad energią atomową. Bez nich zamartwilibyśmy się coraz bardziej wyczerpującymi się źródłami energii na ziemi, patrząc z trwogą w niedaleką przyszłość, gdy zabraknie ich zupełnie. A przecież w chwili, gdy je podejmowano, nikomu nawet nie śniło się, że otworzą one ludzkości tak nowe i wspaniałe perspektywy. Gdyby więc wtedy powszechnie na ziemi panowało hasło, że jedynym celem nauki są potrzeby „praktyki”, epoka atomowa nigdy by nie nadeszła.

Wolność nauki jest więc zasadniczą podstawą jej rozwoju. Jakże jednak pogodzić tę potrzebę wolności z ograniczeniami, jakie stawia dzisiejsza koncentracja środków i narzędzi pracy naukowej w dziedzinie badań atomowych? Niewątpliwie dobrą na to odpowiedź jest dekoncentracja środków, jaką widzimy np. w Stanach Zjednoczonych. Tam mnogość instytutów badawczych, przebiegających fundacji, z królewskim wręcz przepychem urządzonej laboratoriów uniwersyteckich, rozległych zakładów doświadczal-

nych, potężnych i rywalizujących ze sobą koncernów przemysłowych, stwarza warunki nieomal zupełnej swobody badań naukowych, popieranej a nawet zachęcającej przez te mnogie zakłady, w doskonałej świadomości, że jedynie owa pełna wolność badań ich pracowników zapewni danej instytucji możność skutecznej rywalizacji z instytucjami konkurencyjnymi.

Odmienny zupełnie obraz widzimy w Rosji Sowieckiej. Tam mania planowania zaszła tak daleko, że w planach pięcioletek przewiduje się nie tylko zamierzenia, jak to oczywiście się czyni przy wszelkim planowaniu, ale też konkretne i rozlicznymi sankcjami obwarowane cele do osiągnięcia, tak jak: gdyby można było wolną myśl ludzką zmusić do rozwiązania nieraz dopiero mgliście zarysowującej się idei w określonym terminie! Co więcej, ustala się nawet „normy” prac naukowych do wykonania, z całkowitym brakiem zrozumienia, że myśl człowieka nie daje się wciągnąć w mądelkowe wymiarów liczbowych. W tych warunkach trudno więc mówić nie tylko już o wolności poszukiwań naukowych, którą „plany pięcioletnie” całkowicie przekreślają, ale nawet i o wolnej pracy naukowej w wytkniętym kierunku.

Oczywiście warunki gospodarcze nie wszędzie pozwalają na tak bogate — czasem wręcz rozrzutne — wyposażenie prac naukowych, jak w Stanach Zjednoczonych. W Anglii np. gros środków na prace naukowe dostarcza państwo, lecz nad rozdziałem tych środków czuwa komitet naukowy, zazdrośnie broniący swej niezależności od nacisków tak władz państwowych, jak i interesów ubocznych.

Tym niemniej współczesna tendencja, panująca w wielu krajach, skupienia gros środków i dyspozycji w ręku państwa, stanowi poważne niebezpieczeństwo dla wolności nauki i możliwości rozwoju osobowości badacza. Zapewne i zleceniodawca prywatny zawsze w mniejszym lub większym stopniu kępował wykonawcę. Ale w najgorszym razie było to skrupowanie tematu, lub też szczegółów wykonania, jak ubiór aniołów, czy też poszczególnych postaci w słynnym fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. To jednak, co stanowi istotę dzieła sztuki, styl, pozostawiono artyście całkowicie do wyboru. Nacisk zaś państwa, jako jedyne go zleceniodawcy może iść aż tak daleko, że przepisuje ono nie tylko temat, ale i styl, jak to było — a częściowo niestety jest i nadal — ze socrealizmem.

I nie tylko w państwach totalitarnych. W państwowych wytwórniach francuskich np. przed wojną, wszelkie ulepszenia w metodach produkcji, zanim mogły być wprowadzone w życie, bardzo często musiały mieć zatwierdzenie centralnego zarządu, instytucji biurokratycznej, dalekiej tak przestrzennie, jak i nastawieniem, od miejsca produkcji.

W dziedzinie atomowej, gdzie kosztowność koniecznych do badań środków tak często czyni państwo jedynym ich dysponentem, problem pogodzenia wolności nauki, swobody pracy naukowej wedle uznania badacza, ze zrozumiałymi naciskami państwa, jest jednym z podstawowych zagadnień organizacji pracy naukowej w tej dziedzinie.

Jest to zresztą nie tylko problem państwowej jednostki. Równie, a może nawet bardziej, kłopotliwa może być zależność pracownika naukowego od kierownika zakładu, bez względu na to czy jest to instytut badawczy, czy też koncern przemysłowy.

I jakkolwiek wyłaniające się tu problemy wydają się nieraz zupełnie nowe, wynikię z

nowych tematów i nowych środków, w gruncie rzeczy jednak są to odwieczne zagadnienia stosunku jednostki do zbiorowości, które tylko wtedy znaleźć mogą pełne rozwiązanie, jeśli z jednej strony zrozumie się, że człowiek, obdarzony przez Boga bezcennym darem: wolnej woli, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek pełnego rozwoju swej osobowości, z drugiej jednak strony nakaz miłości bliźniego wymaga od człowieka, aby tę swoją wolność umiał ograniczyć tak, by być możliwie najbardziej pomocnym swym bliźnim. W dziedzinie badań naukowych oznacza to konieczność zapewnienia podwładnym przez kierownika zakładu pełnej wolności w prowadzeniu ich badań i wyciąganiu z nich wniosków, a od pracownika takiego prowadzenia swoich badań, aby jak najlepiej służył dobru instytucji, w której pracuje.

Aby ten cel osiągnąć, tak jednostka prowadząca badania, jak i organizacja badań naukowych w danym kraju — powinny umożliwić każdemu uczonemu pracę w tym kierunku i w takim zakładzie, który najbardziej odpowiada jego celom naukowym.

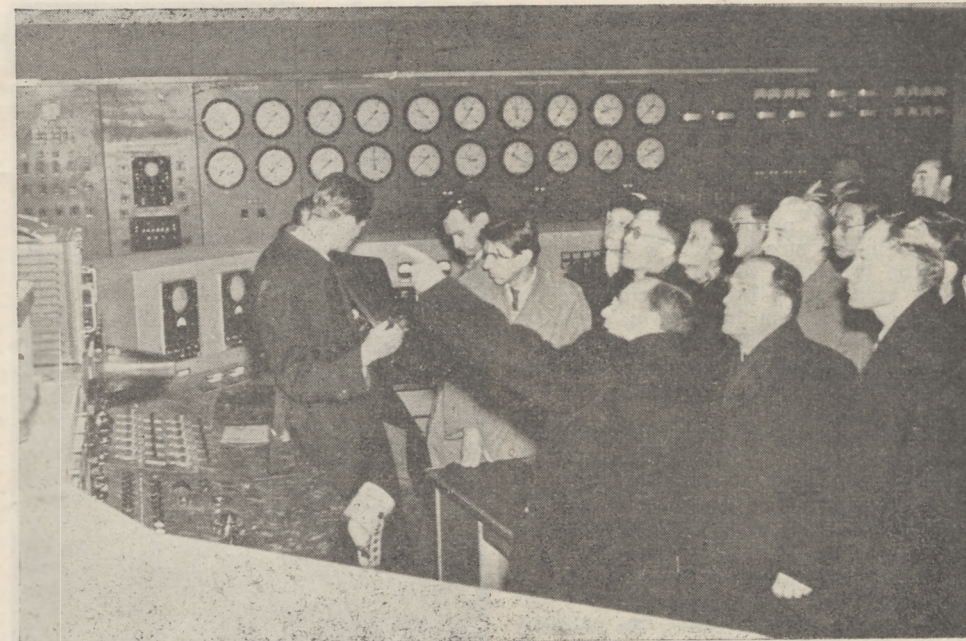
Odpowiedzialność uczonego. Podstawowy problem wszelkiej pracy, odpowiedzialność człowieka za jego czyny, nabiera szczególnego oświetlenia w związku z problemami atomowymi, a to ze względu na to, że władza, jaką te nowe środki dają w ręce człowieka, może stanowić poważną groźbę dla całej ludzkości.

W związku z tym spotykamy się często z dwoma skrajnymi, a przeciwstawnymi poglądami. Wedle jednego z nich, praca naukowa jest moralnie obojętna. Uczony odkrywa nowe prawa przyrody, technik wciela te prawa w środki praktyczne, w jaki sposób jednak ludzie je wykorzystają, nie ich to rzecz i odpowiedzialność. Szlifierz, który zaostrzył nóż, nie może odpowiadać za to, że ktoś użyje tego noża zamiast do kraniania chleba do wbięcia go w plecy bliźniego.

Drugi skrajny pogląd głosi, że skoro uczonej tworzy tak potężne środki władzy nad siłami przyrody, a równocześnie bardziej niż inni, niefachowcy, zdaje sobie sprawę ze skutków takiego, czy innego zastosowania tych sił, to on, a nie kto inny, ma decydować o tym, czy dane badania przeprowadzić, czy też nie, czy dane środki rozwijać, czy też ich zaniechać. Jednym słowem, uczonej ma być jedynym sędzią słuszności, czy też mylności takich czy innych zamierzeń zbiorowości i jego decyzja, a nie wola większości, ma decydować o kierunku już nie tylko badań, ale i zastosowań praktycznych, związanych z energią atomową.

Wydaje mi się, że odpowiedź leży — jak zwykle — po środku, między obojętnością moralną uczonego z jednej strony, a czynieniem z niego pół-boga ze strony drugiej. Jest chyba rzeczą oczywistą, że żadnemu człowiekowi nie wolno być obojętnym wobec skutków swego działania. Uczony, który by wynalazł truciznę tak mocną, że mogłaby wytruć całe miasto bez możliwości obrony ze strony jego mieszkańców, ma oczywiście obowiązek ukrycia swego wynalazku, jeśli nie ma pewności, czy nie będzie on narzędziem w ręku szajki zbrodniarzy. Fizyk, który stworzył nowy sposób wiernego kopiowania banknotów, nie może środka tego oddać na usługi bandy fałszerzy pieniędzy!

Podobnie uczonej pracujący nad nowym zagadnieniem, które zbiorowość chce wykonać w sposób wedle niego szkodliwy, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek ostrzec zbiorowość przed — jego zdaniem — zgubnymi skutkami tego zastosowania. Nie wolno mu jednak uważać się za coś lepszego od innych obywateli i sądzić, że ma on prawo



BADANIA ATOMOWE: Na jednej z licznych konferencji badaczy atomowych w Anglii przeprowadza się próbną badania z prototypem urządzeń kontrolnych

— per fas czy per nefas — narzucić im swą wolę.

Jeśli więc sądzi, że wola większości jest sprzeczna z tym, co uważa za słusne, ma wszelkie prawo — a nawet obowiązek — odmówić swej współpracy. Nie wolno mu jednak sabotować woli większości przez złe porady fachowe, czy też przez pozorną współpracę, która w rzeczywistości ma wręcz przeciwny cel na oku.

Problem ten posiada i inny, często dyskutowany, aspekt. Jeśli uczonej pracuje w zespole, z którego celami nie może się zgodzić, ma on nie tylko prawo, ale i moralny obowiązek odmówić swej współpracy. Łatwo to powiedzieć, mówią, czy jednak możemy zapomnieć o tym, jakie następstwa osobiste i rodzinne grożą człowiekowi, który tak postępuje? Czy wolno nam wymagać od ludzi bohaterstwa?

W niektórych wypadkach, niestety — tak, Chrześcijanin, który odmawiał ofiary bogom, bez wątpienia narażał się na śmierć męczeńską. A jednak wiemy, że nie wolno mu było postąpić inaczej, jeśli chciał być wiernym Bogu.

Z drugiej jednak strony zbyt łatwo dzisiaj szafujemy słowem „bohater”. Późniejszy kardynał Newman, gdy dobrowolnie rezygnował z doskonalności — na owe czasy — płatnej posady profesora w Oksfordzie i zaszczytnego stanowiska społecznego, aby przyjąć wiarę katolicką, bynajmniej nie sądził, jakoby był bohaterem. Wprost przeciwnie, uważał, że korzyść duchowa, jaką na tej drodze osiąga, jest o wiele więcej warta, niż strata materialna, jaką ponosi.

Uczonej więc, który rezygnuje z intratnej posady, aby tylko być w zgodzie ze swoim sumieniem, na pewno nie jest „bohaterem”, czyni bowiem tylko to, co jest jego elementarnym obowiązkiem moralnym. A dzisiaj, przynajmniej w wolnych krajach świata, gdzie na pewno nie zginie z głodu, jest to nawet ofiara niekoniecznie tak wysokiej klasy. Jest to co najwyżej zmiana życia dostojnego na życie ubogie, pracy przyjemnej na pracę mniej przyjemną. Dla człowieka, który ma właściwą miarę rzeczy i który rozumie, że dobra duchowe są więcej warte, niż materialne, nie będzie to nawet ofiarą, a tylko „wybraniem najlepszej cząstki”.

Zapewne sprawa przedstawia się zupełnie inaczej w krajach totalitarnych, gdzie nie tylko odmowa współpracy, ale nawet głoszenie poglądów sprzecznych z poglądami obowiązującymi może pociągnąć za sobą prześladowanie. W stosunku więc do osób żyjących w takim ustroju normy oceny muszą być zupełnie inne, niż w stosunku do osób żyjących w wolnym świecie. Co bowiem dla tych ostatnich jest najwyższą rezygnacją z dogodniejszych warunków życiowych, to dla ludzi zza żelaznej kurtyny jest często bohaterstwem i to bohaterstwem wysokiego rzędu.

Z drugiej jednak strony rzeczą zbiorowości jest tak urządzić warunki pracy naukowej, aby jednostka, która ze względów zastrzeżeń natury moralnej, czy też różnicy poglądów, musi porzucić pracę w dotychczasowym gronie, miała możność dalszego kontynuowania pracy naukowej, choćby w mniej korzystnych warunkach materialnych. Jest to zresztą nie tylko obowiązkiem zbiorowości dla zapewnienia pełnego rozwoju osobowości jej członków, ale również i jej interesem, gdyż bardzo często jednostki, których opinie ostro różnią się od opinii im współczesnych, są właśnie tymi, które wnoszą wiedzę ludzką na nowe wyżyny, wskazując jej nowe drogi.

Oczywiście więc ustroj, w którym za różnicę poglądów płaci się łagrem i śmiercią (jak to było np. z Wawilowem i Zrebakiem w ich sporze z Łysienką), nie odpowiada tym postulatami. Tam jednak, gdzie jednostka usunięta z pracy w instytucji, której celem i zasadom organizacyjnym nie odpowiada, znajduje pełną możność pracy naukowej w instytucji uniwersyteckiej (jak to było np. w wypadku Oppenheimera) trudno mówić o „prześladowaniu za poglądy”. Jasne jest bowiem, że tak jak żaden zespół nie ma moralnego prawa zmusić jednostki do zmiany swych poglądów, tak — na odwrót — żadna jednostka nie może żądać, aby zespół ją tolerował w swym gronie, z chwilą, gdy jej działalność staje się — wedle opinii kierowników tego zespołu — szkodliwa dla jego celów.

Właściwe znalezienie drogi pośredniej między tymi dwoma skrajnościami jest oczywiście nieraz rzeczą bardzo trudną, jak w

każdym wypadku, gdy ogólne zasady moralne należą stosować do wypadków poszczególnych. Nie dziw więc, że poglądy i osady ludzi, nawet wychodzących z tych samych założeń moralnych, mogą w pewnych wypadkach być diametralnie przeciwne.

Jawność i tajność prac naukowych. Z zagadnieniem wolności nauki ściśle łączy się sprawa jawności wyników prac naukowych, a więc swoboda publikacji. W przeciwieństwie do metod stosowanych w średniowieczu, gdzie tajemnica metod i wyników pracy była czymś samo przez się zrozumiałym, a jej zdrada czynem hanbiącym, dzisiejszy świat naukowy jest jednomyślnie zdania, że jedynie pełna swoboda publikacji wyników prac naukowych jest gwarancją rozwoju nauki.

Jakkolwiek to „prawo swobodnej publikacji” nie opiera się — bezpośrednio przynajmniej — na żadnym kanonie moralnym, to jednak dotychczasowy rozwój nauki wskazuje, że ta swoboda publikacji jest najpotężniejszą dźwignią nauki i jej postępu.

Są jednak — i zawsze były — wyjątki od tej zasady. Koncern przemysłowy (bez względu na to czy prywatny czy państwowy) np. ma niewątpliwie prawo żądać, aby jego pracownik, który w jego zakładach, kosztem koncernu, dokonał ważnego odkrycia naukowego, wstrzymał się z jego publikacją do czasu, aż koncern ten osiągnie godziwe zyski z praktycznego wykorzystania tego odkrycia.

Tym bardziej więc, gdy dane wyniki naukowe są ściśle związane z problemami obrony, państwo ma nie tylko prawo, ale i obowiązek żądać, aby wyniki te utrzymać w tajemnicy. Pracownik naukowy, który się z tym nie godzi, może zrezygnować z tej kategorii prac, nie wolno mu jednak w żadnym wypadku publikować wyników, zastrzeżonych jako tajemnica państwowa, ani tym bardziej na własną rękę udzielać ich osobom trzecim, choćby nie wiedzieć jak wzniosłe — jego zdaniem — kierowały nim pobudki. Najszlachetniejszy cel bowiem nigdy nie usprawiedliwia złych środków.

Do prac związanych z tajemnicą wyników powinny się brać tylko te osoby, które cel tej tajemnicy w pełni uznają. Wtedy współpraca między nimi, a organami zobowiązanymi do czuwania nad zachowaniem tajemnicy, będzie układać się harmonijnie i czasem może dojść do takiego zgrania (a piszę o tym z własnego doświadczenia), że sprawę publikacji, czy też tajemnicy pewnego wyniku naukowego pozostawia się sumieniu danego pracownika.

Z drugiej jednak strony należy zauważyć, że w chwili obecnej, gdy wszystkie przodujące narody stoją mniej więcej na tym samym poziomie naukowym, bardzo często przesadna tajemnica wyrządza więcej szkody, niż korzyści, i — na odwrót — publikacja pewnych wiadomości przyspiesza postęp własny umożliwiając pracę uczonym nie objętym kręgiem tajemnicy i wzbudzając oddźwięk strony przeciwnej.

Znalezienie złotego środka jest tu — jak i wszędzie — sprawą niewątpliwie trudną.

Dozwolone metody badań. Potężne źródła promieniowania, jakie powstają w czasie badań atomowych, stanowią poważne niebezpieczeństwo nie tylko dla osób przeprowadzających badania, ale i dla zupełnie z nimi nie związanego otoczenia. Bez względu na to, czy obowiązkami badacza atomowego jest zorganizowanie badań w taki sposób, aby — wedle jego najlepszej wiedzy — nie mogły być one szkodliwe dla ludzi.

Jest bowiem podstawową zasadą moralną,



BADANIA ATOMOWE: „Mechaniczne ręce” pomagające w przeprowadzaniu badań materiałów radioaktywnych. Laborant operuje „rękami” ukryte za ochronną ścianą

że — jak ważne i szlachetne by nie były cele badań — przeprowadzającemu je nie wolno narażać dla ich powodzenia życia i zdrowia innych ludzi, chyba tylko za ich pełnym przyzwoleniem. Niemieckie badania nad więźniami w obozach w Ravensbrück i innych spotkały się z powszechnym i słusznym potępieniem całego świata. Nawet i wypadki badań nad ochotnikami, choćby sam badający był tym ochotnikiem, spotykają się często z silnym potępieniem moralnym, jeśli przeprowadzający te badania nie uczynili wszystkiego, aby ich skutki ujemne zredukować do minimum.

Ta prosta i oczywista zasada moralna staje się jednak nieraz nie tak jasna w zastosowaniach praktycznych, gdy chodzi o badania atomowe. Jak o tym będzie mowa dalej, nieraz cel, jaki przywieca badaniom atomowym, jest tak ważny, że maksymalne ryzyko, z nimi związane, znajduje swe usprawiedliwienie. Ale i wtedy obowiązkiem moralnym przeprowadzających badanie jest tak je zorganizować, aby jego skutki ujemne zredukować do minimalnych granic, na jakie tylko dopuszcza dany stan wiedzy.

Czy bronie atomowe są moralnie uzasadnione? W książce, poświęconej pokojowym zastosowaniom energii atomowej, pytanie to wykracza poza zakres danej książki. Sądzę jednak, że nie wolno mi go pominąć przy dyskusji problemów moralnych związanych z energią atomową.

W pierwszym rzędzie należy podkreślić, że pojęcie wojny słusznej jest nie białe etyce chrześcijańskiej. Ojciec, który by nie bronił swego dziecka przed napaścią zbrojcow, nie może się usprawiedliwiać przywołaniem „nie zabijaj”. Tołstojowskie niesprzeciwianie się złu na pewno nie jest posawą chrześcijańską. I nie tylko Mickiewicz pisze, że

„...Dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło
tworzenia”

ale i Ojciec Święty w swym przemówieniu wigilijnym w 1936 roku wyraźnie mówi, że

„może dla jakiegos narodu zająć wypadek, w którym by nie można było uważać za niedozwoloną wojnę... dla skutecznej obrony przed niesprawiedliwą napaścią”.

A św. Tomasz poucza, że tak jednostka jak i grupa ludzi, uciśniona lub skrzywdzona, ma prawo do użycia siły dla przeciwstawienia się gwałtowi, pod warunkiem jednak, że zło, wyrządzone przez użycie siły nie będzie większe niż zło, przed jakim pragnie się bronić.

I tu zaczyna się trudność. Dla tych, których najwyższym dobrem są wartości czysto materialne i „biologiczne zachowanie gatunku ludzkiego” — jak głosiła deklaracja kilkunastu uczonych z 9 czerwca 1955 roku — wszelka obrona w epoce atomowej jest złem większym, niż bierność poddanie się totalistycznej i wrogiej Bogu niewoli.

Jeśli jednak za podstawę wyjściową weźmiemy słowa Ewangelii: „a nie ojcie się tych, którzy zbijają ciało, a duszy zabić nie mogą; ale raczej bójcie się Tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła” (św. Mateusz, 10, 28), to jasne się stanie, że są dobra moralne, (jak np. wolność człowieka, swoboda jego sumienia), dla obrony których nie wolno nie zaryzykować nawet najgorszych skutków dla ciała i dobrobytu człowieka.

Wszystko więc sprowadza się do pytania, czy idea przewodnią ludzkości ma być hasło pogańskiego motłochu rzymskiego „panem et circenses” (chleba i igrzysk), czy też zawołanie robotników poznańskich: „chleba i wolności”. A prawdziwej wolności — jak o tym wiedział już św. Augustyn — nie masz, jeno z Bogiem.

Z tego punktu widzenia historyczne oskarżenia i lęk przed wszelkim działaniem są barażo często tylko pospolitym sobkostwem przykrywającym się tylko szatą pięknych zasad moralnych, niechęcią ryzykowania własnej skóry dla ratowania bliźniego. Ocena skutków materialnych tego samego działania jakże często jest inna u słych, a inna u głębczych i prześladowanych. Czyż nie jest tego najlepszym dowodem ów dopisek warszawski na afiszu propagandowym, przedstawiającym Trumana z bombą atomową w ręku:

„Panie Truman, zrzuć ta bomba
Bo już nie do wytrzymania.”

Jeśli więc wojna obronna w celu zapobieżenia groźbie utraty najwyższej wartości dóbr duchowych jest usprawiedliwiona, to tym bardziej usprawiedliwione są przygotowania do tej wojny i to wszystko co jest konieczne, aby groźbę napadu odwrócić. Jak bowiem mówi Ojciec Święty w tym samym orędziu: „Jeżeli zatem jakieś przedstawicielstwo ludowe i rządy — wybrane wolnym głosowaniem — przedsięwzięją środki zaradcze obrony i wydadzą zarządzenia wedle ich osądu konieczne... obywatel-katolik nie może powściągać się na swe sumienie, by odmówić świadczeń i spełnienia obowiązków przepisanych prawem”.

Do takich środków w dobie obecnej należą i doświadczenia z bronią atomową. Zapewne obowiązkami moralnymi ludzkości jest dążyć do ich całkowitego zaniechania. Jeśli jednak nie można uzyskać bezwzględnej pewności, że zaniechanie to będzie przez wszystkich dotrzymane, jeśli jedna ze stron kategorycznie odmawia wszelkiej międzynarodowej kontroli, która by tego zaniechania dopilnowała, rząd kraju, chcącego bronić swej wolności i swych najwyższych dóbr

(Dokończenie na str. 25)

P Y C H A Ż Y W O T A

(Fragment powieści „Lyse Wzgórze”)

Napisała Janina Węgrzyńska-Kościalkowska

Pasterz Uriasz nie miał szczęśliwej ręki do krów.

Zdychały lub chorowały. Nie od razu spostrzegł, że szczęście opuściło go. Zanim to pojął, upłynęły długie miesiące. Zaczęło się to od przewlekłego zdziwienia, od tępego niezadowolenia, bez buntu, tak jak nie buntuje się majster pewny swojej maszyny, w której zawsze da się odkryć i naprawić uszkodzenia, gdy tylko starannie ją zbadac. Nie prędko więc popadł w zasadzkę tajemnicy i nie od razu jął się walczyć.

A gdy się jął, znalazł się od razu osaczony ze wszystkich stron. Zrozumiał to z jednego rzutu zły myśli i zmrużył oczy od tego rozpoznania jak człowiek rażony z nagłą zbyt gwałtownym światłem.

Na zewnątrz nie zmieniło się nic. Gospodarze, jak i poprzednio, nie robili mu żadnych wymówek. Martwili się, deliberowali, utyskiwali na szkody, ale nie było w tym wszystkim ani śdźbła pretensji do Uriaşa. Może to było najgorsze. To właśnie czuł prawie jak obelgę. Może, gdyby nawet nie słusznie winili jego, gdyby jemu przypisywali jakąś odpowiedzialność, zniósłby to lepiej — broniłby się, usprawiedliwiał, toczyłby swoje racje. Niewinny okazałby się całkowicie, to jasne, ale wsączyłby przez to swoją osobę w ten nieporządek rzeczy, w nim był jakoś ważył...

Ważyli się wieczorami w dobrze znanym niebie gwiazdy różnej wielkości i blasku, zanim osadzili się na dobre, na całą noc już dojrzała i skrzepła — sobie przynależnym i właściwym kształtem, wymiarom i światłem. Kiedy już osiadł, Uriasz wychodził z domostwa na dziedziniec, z dziedzińca na drogę, rzadziej do sadu (nie lubił sadu i drzew owocowych, białonych, domowych), i patrzył na niebo. „Dziurki wy moje, dziurki... — mawiał do gwiazd od samego dzieciństwa i aż do ostatnich czasów, ale gdy odwróciła się jego gwiazda, przestał przeżywać z nimi po swojemu. Tylko patrzył i oczy mrużył.

Te same — e?... Podejrzał je.

A wiedział, że były te same. Te same, na które patrzył kiedyś z niżu dukielskiej przełęczy, czy żmigrodzkiego zajazdu, gdy towarzyszył swojej trzodzie na rynek w jej ostatniej wędrowce. Nie musiał już tego robić, ale chciał. Był znakomitym pasterzem, prawdziwym, nie amatorem. Gdy najął się tutaj do bydła, miał za sobą już dwadzieścia lat wypasania. Ojczyzna, obczyzna — oczy owiec patrzyły wszędzie tak samo.

Owiec... Póki o nie szło, szło dobrze. Klebiły się od pysznej wełny, tu, na pirenejskich zboczach, jak kiedyś tam. Kurz drogi, który wzniesiał swymi cienkimi nogami okrywał jej suto i Uriasz z przyjemnością patrzył jak ginął w sierści tak gęstej, że kształt miały żywej szpulki a ręka nurzała się głęboko w tłustą frędzel. Jak tam, tak i tu, powodziło mu się z owcami; dobytek był cudzy, ale przybytek jego, Uriaşa, jego krasa i żywioł.

A kiedy objął krowy, szczęśliwy wypas przetrząsnął się powoli w rosnącą udrękę. Dlaczego? Karm i pasza nie były inne dla jego krów niż dla cudzych, ani obora wilgotniejsza, ani nie zasadził się wampir w szczelinie. Mądre rozważania gospodarza do nad złym skrzyżowaniem rasy, to nad kwaś-

nym nalotem krowca, Uriasz przyjmował; z wewnętrznym wniczeniem ramion. Znał tego byka z sąsiedniej wsi, znał swoją Lanulet... a przecież jałowka z tego stadła chorowała długo, już dobrze podchowana i w końcu zdechła. A pasza... I on myślał tak samo. Świtem i zmierzem warował nad tajemnicą łąki, śledził ją i badał, podchodził po deszczu i o suszy, żeby się czymś zdradziła, żeby coś odmrunknęła, wydała sekret. I nie. Roztarte w ręce trawy pachniały tak jak powinny, smak miały właściwy i porównawczo i soczystość. Nie rozplenił się wśród nich żaden nowy chwast, którego by nie znał, nie przybyło nowe źródło, nie chodziło cudze bydło. Obora była niestara i czystość w niej panowała wzorowa, nawet starą prasę do wycisku winogron stamtąd wywalił (— a nuż ferment od przepitych winem desek idzie jeszcze na krowy?), ściany dwakroć wybielił, podłogę uszczelnił. Ale nie oborę podejrzał, tylko pastwisko. Aż nawet wybrał się raz jeden, miesięczną nocą na miejsce wypasu i chodził i patrzył. Nadśledził. Może nocą, z pobliskiego potoku wylegało coś na trawę, może ją truił jad jakiś, może coś się tam działo przeciwnego? Czatował na kolanach to tu, to tam — woda pluskała zwyczajnie, warowała wiecznym czuwaniem, regularnym jak oddech śpiącego człowieka, ptak zameldował się nocy, ukryty w drzewach, to tu, to tam, księżyc pozwalał przeliczyć każde źdźbło. Licz, licz, Uriaşu... Nic nie pomykało ziemią, nic nie poruszało się w krzewach, nic się nie działo prócz szederstwa spokoju.

Wrocili do domu i rozważał. Nie sypiał już wtedy w swojej komórcie obok obory, ale wprost na rosochatych bokach Marie-Jeanne, którą po swojemu zwał Marzaną. Jej wielkie ciało leżące na ziemi, tworzyło wzgórze i doliny, jak bryły plastycznego modelu pasma górskiego, w uskok podwiniętego ledźwia kładł barki i przygięta w karku głowę i w tej ustronnej niszy zasypiał snem baczny, jak gdyby przezroczyłym, nad słuchując krowiego oddechu i rytmu przeżuwających kłosał.

Warował tak nad zdrowiem bydła, a przecież nie zdało się to na nic. Tak jak nie zdały się na nic oględziny weterynarza. Nerwowo był i uczony, wzięty w całej okolicy, ale przecież nie zaradził biedzie. Krótka była poprawa krowiego zdrowia i złudna. Po tem szło już tylko o forsowne wytuczenie paru sztuk, żeby móc szybko sprzedać.

Noce padały jedna na drugą i z tych złych nocy i złych dni zbiło się grube jarzmo, w którym Uriasz chodził pochylony, kablakiem pleców zastawiając się bezwiednie przed razami dopustu losu. Złe gwiazdy nad nim trwały, umknąć nie widział jak.

Pałał ze wstydu, kiedy jednej z tych nocy dopuścił się sam opokarzającego zabiegu, z poduszczenia zgrzyoty, z judzącego smutku — i natarł wymiona krowie, które już nie dawały mleka od trzech dni, cudowną wodą z Lourdes, opędzając się brakowi wiatru w skuteczność, lekając się go śmiertelnie i równocześnie jakby tając ten akt sam przed sobą. Ale ten cieniem nagle wyrósł — podwójny, potrójny, i gdyby nie pułap obory, sięgnął by pewnie wierzchołków najwyższych platanów. Łojówka, nędzny ogarek, najmarniejszy z marnych, jaki umyślnie do tej operacji wyszukał, ustawiona na ziemi

rzuciła przeciw wszystkim na białone ściany i tam drżało to dygotem wielkim od zgorzienia, przerażenia, czy wyzywania się zaklętych i zaziemskich. Cień wymion — olbrzymie torby podługowate, sercowate — zawisł wysoko niby jakieś potworne wota, ku którym raz w raz sięgała ręka Uriaşa, ujmując je i zwalniając krótkim, urywanym ruchem. Wstrząsnął się nagle, splunął. Nie robi się masażu cudownymi wodami, jedna kropka wystarczałaby, gdyby... Jedna kropka! Głupi jest nawyk rozumu człowieka! W złości pchnął żydeł, tył podał tym cieniom-zdrzajcom, ale one chwyciły ten tył, chybot piekielny wyprawiły za nim, prawie słysząc ich chichot, grymas strachu i pogardy dla siebie samego rzucił mu się w usta i znowu splunął. Łojówka zgłaszał raptownie. Cisza i ciemność wypełniły oborę, sojuszniczki zwykłości, i powoli, powoli domacał się w nich nieco spokoju i ogarka świecy, który wyniósł za próg i cisnął przez daleko od siebie, w niewidoczny sad.

Gwiazdy jaśniały. Uriasz nie podniósł ku nim oczu. Gwiazdy te same, wody cudze. Gdyby tak jak tam, móc napić było zwyczajną, kryształową wodą z górskiego potoku przełęczą, swojej, dukielskiej, tamtejszej, krowy wyzdrowiałyby. Zwyczajnej wody... Stamtąd. Et...

Na zimno, ale gwałtownie zatęsknił.

O zachodzie słońca chodziła drogą dziedzińca z sąsiedniej farmy, prowadząc swoje krowy. Wspaniałe były, jaśniejące zdrowiem, płowe i białe jak bryły cięte w masie. I o tej porze Uriasz zawsze znachodził się przed bramą obejścia, przerywając robotę, i zawsze patrzył jak szły ku niemu drogą miękką i ciężką, a gdy miały go, zawadzały o niego na chwilę swym okiem statecznym i spokojnym jak samo szczęście. Gdyby ich dotknął, może one spłynęłyby z nich po jego rękach na tamte... Może można udzielić zdrowia tak jak udziela się zaraza... Ręce same wyciągały się przed się, rozstawione palce gotowe coś pochwytać, coś zamknąć i podnieść. A co? Tylko papierosa skręcały mocno, prawie drapieżnie. Dym szedł w oczy, przez ten dym przesuwali się te krowy i kiedyś, raz jeden i drugi przebił się uśmiech dziewczyny, zacępną i wyniosły równocześnie, a kiedy się oddalała, widział jak przelewała krok przez ledźwie, jak się ważyła w pasie i złość go zalała. Cóż ta sobie myślała, ta, ta... Jakie durne są baby, to strach! Durne, durne... I splunął znowu. Pasek rzemienny na chudym brzuchu zaciągnął mocniej. Tym paskiem byłoby prasać głupią dziewczynę i pracować różowym pysku, żeby niebieskie oczy zasłyły czerwienią. Raz, drugi, dziesiąty... Durna!

Wszystko było takie naokoło Uriaşa. Z dnia na dzień durniało samo życie.

Gospodarzom urodziło się dziecko i wyprawiano chrzciny. W kościele w czasie ceremonii Uriasz stał niedaleko drzwi i wejścia do chrzcielnicy, oddzielonej kratą drewnianą i ozdobną. Mroczny to był zakątek i nie od razu zauważył w rogu między słupem chóru a ścianą, obraz wiszący tam pochylony ukosem, dość nisko i niewielki. Ze złotego tła wynurzały się spadziste barki w czarnym płaszczu i okrągła głowa o twarzyczki cienkiej i bladej, a wokół niej, jeszcze mniej widoczne unosiły się cztery skrzydlate półanioly, dźwigające narzędzia męki Pań-

skiej. Znany był Uriaszowi ten obraz, przypomniał go sobie z kościoła swojej wsi i innych, dokładnie ten sam wizerunek Matki Nieustającej Pomocy. Tak samo tu jak i tam, jej dziecku, trzymanemu w uchwycie łokcia, zsuwał się z nogi trzewik na sznurkach i gdyby się tylko ruszyło, trzewik by spadł. Uriasz pamiętał ten szczegół od dzieciństwa. Jezus odwracał głowę gdzieś ku górze a sandał opadał w dół. Chciało się miło woli wyciągnąć rękę, żeby go zatrzymać, przypasać do nogi, zapieść sznurowadła. Anioły prezentowały straszną wizję przyszłości, Bogurodzica uśmiechała się. Złote tło grało od refleksów światła i od gry tej zapadały się w głębi całe fragmenty obrazu, jak gdyby opuszczając go nagle i pozostawiając po sobie ostro wycięty, pusty kontur. Potem wracali, wypełniały go znów. Odlatywały. Wracały, pokazywały się znów. Zapewne, nie zauważył tego Uriasz, ale mieniła się złota powierzchnia czarowała go niespokojnym i tajemniczym ruchem, jak samo dno studni. Obraz płynął i ociekał blaskiem, znów zamierał od cienia, gdy tylko coś poruszyło się w kościele, gdy drgnęły drzwi wahadło czy gdzieś zapalono świecę. Zachowywał się jak gwiazdy na przedwiecznym niebie. Migotał, łamał się.

Wiecór dnia tego ociągał się z nadejściem. Dzień był długi i wrócono stąd pomyślność noworodkowi. Niebo odcedziło wszystką swą czerwień na obwód gór dalekich i zaciek fioleto stął gęsty i długi. Jak biała flotylla sunęły po wodzie kaczki kupry. Majestatycznie kopały tafle i wypruwały spod siebie wypukłą koleinę wody, podobną do okrętowej liny. Przeciągały ją poprzez odbicia gałęzi i drzew przybrzeżnych i napięte wysokie niebo, zadraśnięte księżycem. Niebo i księżyc napierane kaczka pierśią rozdzierały się cicho i wypływały na czerwonych łapach ptaka zbełtane i drżące, sturutowane, rozbite. Cierpliwe odginały się i zginały trawy. Niecierpliwość natomiast unosiła się w głosach obór i chlewów, ordynarna, nie podlegająca urokom świata i Uriasz słuchał jej ze złością i smutkiem. Nie mógł nie słyszeć. A czuł, z daleka już czuł, że jego obora milczy.

Jeszcze tego samego rana weterynarz ponowił swoją wizytę, przywiózł inne lekarstwa, pouczył gospodarza i Uriasza jak je trzeba stosować, ale Uriasz już im nie wierzył. Już wiedział, że nie pomogą. Owszem, umieścił je ze zwykłą starannością tam, gdzie być powinno, słuchał uważnie i grzecznie, rozumiał, lecz nie nie wypełniło w nim tego zwiątnięcia, w które popadł. Los był mu przeciwny, odwróciły się odeń gwiazdy. Nie kwapił się też do kołyski małego ochrzczenia, nad którą pochylali się zaproszeni goście, nierad słuchał jego płaczu, przy uczcie siedział ponury i jadł niewiele. Pił za to sporo, niby na pomyślność dziecka a naprawdę na niepomyślność własnego robaka. Rad widziałby niepogodę, albo przynajmniej niebo zaciągnięte nocną ciemnością. Ale noc stała w oknach, przezroczy sta jak szkło.

Prawie już o północy legł na swoim zwykłym miejscu, które kołysało go oddechem śpiącej Marzany. Koguty piły bliskie i dalekie. Gorące ręce rozrzucił szeroko, przed oczyma miał drzwi obory a nad nimi pas luki przewietrzającej wnętrze, skąd teraz spływał zimny dech powietrza. Luka pokazywała niebo wybite gwiazdami. Uriasz spojrział wreszcie na nie z zajadłą odwagą. Gdy tylko zmrużył oczy, rozpryskiwały się natychmiast w drżący krzyż i zaczęły jedna o drugą. Coś tknęło szybko, potem rozdzierały znów, potem tknęły na nowo. Płynęły, zastęgały, komosiły się. Zacierają się

w miał sypki i błyszczący, albo w rudą czerń. Tu i ówdzie błysnęły zniecka, tu i ówdzie opuściły się nisko, huśtając się, gibnęły się w przód i napęczniały. Określiły w sobie kształt elipsowaty, potem cofnęły go w siebie, potem wyrzuciły się znów. Zaostrzył się, kwadratował, przybliżał pędem. Szalonym pędem. Zawrotny gon gwiazd gnał go w głąb świetlistą coraz bliżej. O gruz jakiś gruchnął gdzieś pewnie, bo ciemność zakurzyła się nagle, zawinęła się w rulony cyprysów, gałąź jakaś ugięła się głośno, coś zadudniało głucho, zagębiały gęsi na podwórzu.

Tuż przy wejściu na dziedziniec stanął gość. Uriasz podszedł ku niemu parę kroków i zatrzymał się niepewnie, cały zamieniony we wzrok. Podejść bliżej, nie podejść?... Zaczekać aż tamten zbliży się pierwszy? Suchość miał w gardle wielką i usta otworzył. Tamten już szedł wprost ku niemu, jakos inaczej niż wszyscy ludzie, jasny i lekki tak, że Uriasz cofnął się instynktownie — Anioł — przemknęło mu przez myśl — anioł...

Nie mógł to być kto inny. Głowę miał małą, całą w okrągłych kędziarach, które wymykały się spod błyszczącego kasku na kark i czoło. Na kasku, od obu skroni dwa krótkie skrzydła ptasie. Peleryna odrzucona w tył od barku, spięta pod szyją, opadała w licznych fałdach na przedramię, odsłaniając pierś nagą i muskularną. Przybyły zbliżał się szybko, ledwo dotykając ziemi, cały w uśmiechu serdecznej życzliwości i Uriasz znieruchomiał, zaparł się rękami w ścianę domu, palcami w mur się wszczepiając. Tamten coś mówił, usta jego poruszały się, zęby lśniły, jarzył się od blasku, aż Uriasz oczy spuścił. Wtedy zamarło w nim serce. Nieznajomy miał na nogach sandały wiązane wstążką powyżej kostek, przylegające mocn odo stóp, a z obu ich boków wykwitwały skrzydła.

Chłop jęknął. Przybyły coś mówił, czego Uriasz nie słyszał, ale pojmował jakby innym, nowo odkrytym zmysłem, oczu od tych sandałów odwrócić niezdolny. Wszelka siła opuściła go i trząsł się cały dreszczem nieznanym, przerażonym szczęściem, całym sobą. Tamten wzniosł w górę ramię trzymające gałąź i wtedy Uriasz rozpoznał, że to nie była gałąź. Laska prosta, skrzydlata w górze, a poniżej skręcone w podwójną ośmkę, wparte w siebie — Jezu, Jezu — dwa węże. Nie ruszały się, nie drgnęły nawet, gdy nieznajomy uchwycił ręką za kabiak jednego z nich i puścił młyncem wokół otwartej dłoni. Laska furknęła w powietrze, w szalonym obrocie zataczając ogromne koło jakby niewidzialnego wiatraka. Podrzucił ją potem raz jeszcze do góry, złapał i śmiał się szeroko, srebrzyście.

— Nie bój się, Uriaszu, nie bój się ich... — Nie bój się... — powtórzył Uriasz bezwiednie, jak echo, ale nie słyszał własnego głosu, tylko czuł na sobie słowa tamtego. Każda kropla krwi ściekała mu w serce osobno, grdyka grała.

Nieznajomy gestykułował żywo, wciąż śmiał się — z niego, do niego?... mówił dużo. Co — tego by Uriasz za skarby ziemi nie umiał powtórzyć. Zdawało mu się, że rozsądził go szczęście. Jego samego i podwórze, oborę i nawet nieulubiany sad. Kamienie dziedzinca paliły stopy, światło zalewało oczy. Już nie widział. Niech się dzieje co chce. Jedno co czuł i co rozlewało się w nim falą radości za falą — to pewność, że był to jego gość, Uriasz, że nie przyszedł do nikogo innego, nawet nie do tamtego malca w kolebce, tylko do niego, do niego... Tak był tego pewny, że sam — niby gospodarz dosko-

nały, gestem wielkoduszności, która go teraz wypełniała po brzegi jak napad dusznicy — sam z siebie wskazał drzwi domu, zapraszająco, niezdarnie, radośnie. Niech wejdzie, niech raczy. Niech na dziecko okiem rzuci, na szczęście, na pomyślność, na całe życie... Z miłości...

Ale tamten potrzęsął głową przecząco. Może nie był z aniołów stróżów?... Prawda, ter. kask... Uriasz sam nosił kiedyś kask, tylko bez skrzydeł i spięty pod brodą rzemieniem. Ciężki. Nie złoty. Zielonawy jak skora węża.

Marzana drgnęła całym ciałem i głowa Uriasza spadła na ramię. Ręce zsunęły się między kolna, ciężko jak gdyby zawisała w nich kula ziemska. Powieki rozchyliły się powoli i oczy żeżały w ciemnościach obory. Zimno objęło czoło pasterza, cielak w kącie stęknął przez sen.

W ciągu dnia, gdy jasno już paliło się słońce, krążył po podwórzu w taki sposób, żeby omijać miejsce, gdzie pojawił się dziwny przybysz. Nie mogąc uniknąć tej części dziedzinca, gdzie zdarzyła się cudowna wizyta jego gościa, przemykał się samym skrajem, starając się zabrać sobą jak najmniej miejsca. Ze inni tamtędy chodzili, nie raziło go to wcale. Uśmiechał się z pogardliwą wyższością wtajemniczonego. Robotę swoją robił też dnia tego inaczej, jakos z pańską, nie śpieszył się i nie zależało mu na niczym. Otworzyła się w nim jakaś wolność przepaścista, podobna nieco do tamtej ze stoków dukielskich, ale nie nazywał tego już ani wolnością ani szczęściem, bo wszystko już odtąd obchodziło się bez słów.

Wyrosło w nim nagle niepomierne zdziwienie i ciepła, nieszydliva pogarda dla swoich własnych cierpień, że mógł tak długo znosić szykany gwiazd przeciwnych i gorzcy swego serca. Teraz nie byłaby to już jego wyłączna dola — byłaby to obraza przedziwnego gościa, który śmiał się do niego i śmiał cały i wężami wywijał, w sandałach na sznurkach, ze skrzydłami u stóp...

Te sandały nie dawały mu spokoju. Szalona chwyciła go myśl, aby pójść do kościoła i zobaczyć co stało się z tamtym sandałem, leżącym w dół i czy jeszcze tam jest. Ale wiedział, że tego nie zrobi, że prędzej by dał się zabić. A zresztą... albo co?

Koło południa zdjął z półki paczkę lekarstw, którą wczoraj zostawił weterynarz i rozciąwszy sznurek, wydostał pudełko pokryte celofanem. Rozerwał brzeg górny i palce jego zeszytywały. Na kartonowym opakowaniu, tuż między swym kciukiem a sznurkiem, zobaczył gościa swojej nocy. Biegł, jedną nogę unosząc wysoko od ziemi w rozmachu rozpede, druga tykała jej końcem palców, płaszcz przerzucony przez barki rozwiewał się od lotu. Te same uskrzydłone pięty, ten sam uskrzydłony kask i laska z wężami. Pod stopami miał kulę ziemską, a pod nią napis przerywany rozdartym papierem... rade Mark. Wokół biegła wąska owalna obwódka, zamykając cały rysunek jak w pętli, a po bokach wielkie litery głosiły nazwę preparatu i adres fabrykanta. Ale tego już Uriasz nie widział. Drżącymi rękami oderwał górną część pudełka i pozerwał oczami każdy szczegół wizerunku, który pozostawił mu wspomnienia, jedyny, niezapomniany gość. Nawet o krowach zapomniał na chwilę. Nawet o tym, że pewnie teraz wyzdrowieją...

Sam, nie czekając gospodarza, przyrzadził lek i zariósł bydlu. Rade, rade, rade — mlaskał bezwiednie językiem patrząc jak krowie ozory chęptały gęstą ciecżą. Kubeł trzymał na kolanie, udem przyklekał — rade, rade, rade... Weterynarz objaśnił, że (Dokończenie na str. 27)

CZYTAJĄC ODYSEJE...

Słowo jego było na początku poezji.

Wielkość dzieła, które po sobie zostawił tak bardzo przerasta nasze powszednie miary, że wielu ludzi wątpiło o ludzkim istnieniu twórcy.

Imię jego, w jakiejś prastarej greckiej mowie znaczyło ponoć „poeta“. Był bowiem zapewne ostatnim, największym rapsodem, jakiego pozostawiła nam w szczydym spadku kultura kreteńsko-mykeńska.

Legenda, co spowiła jego postać obdarza go ślepotą, jakby na świadectwo tego, że inne niż zwykłych ludzi było jego widzenie, że geniusz wyobraźni zastąpił mu człowieczy wzrok.

Tertulian nazywa go „księciem poetów i wszystkich poetów prądźródłem i morzem“. Inni doktorowie pierwszych wieków Kościoła znajdują w jego natchnieniu znamiona świętości.



Starożytna amfora grecka

U tego świętego źródła czerpać będą i poić wielojęzyczne rzesze, najwięksi twórcy Zachodu. Nie tylko starożytni, jak Eiszyllos i Wergiliusz, ale i Dante i Shakespeare i Cervantes; Rabelais i Racine; archaniołowie poezji polskiej — Kochanowski, Słowacki; aż po dzieła Conrada, Joyce'a i współczesną powieść skandynawską i amerykańską.

Przez ojczyznę jego — przez naszą wspólną europejską ojczyznę — przewaliły się hordy barbarzyńców, wznosiły się na niej i rozpały władztwa tyranów, spiętrzały



NA AKROPOLU: Smukłe kolumny Partenonu ciągle jeszcze zadziwiają swym pięknem i odpływały fale fanatyzmu i ciem-

wygnanica — ma jakiś sens szczególności. On pozostał — nieśmiertelny. „Sofotatos martyra“ — najmędrszy świadek spraw wojny i podróży, bohaterstwa ludzi i ich beśsiły w spotkaniu z przeznaczeniem, Poeta gniewu i szczęścia — Homer.

Oddając dziś * * * ręce polskiego czytelnika na obcej ziemi ten nowy przekład „pieśni o mezu, co grody tak wielu ludzi oglądał i czytać myśli ich umiał; po morzach wlokąc dalekich boleść swej duszy...“ sądźmy, że to wydarzenie literackie — owoc czterdziestu lat pracy polskiego poety

zywa się Polska. Czytając więc po polsku „Odyseję“ nie wstydzimy się tego uproszczenia, które może właśnie zbliża nas do prostoty myśli Homera. — Przyznajmy, że nasza Itaka nadziei

HOMER

ODYSEJA

Przekład Józefa Wittlina

Stron 436. Oprawa. Cena 30/-

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE:
KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY VERITAS,
12, Praed Mews, London, W.2.

Olimpijscy biegacze utrwaleńi na greckiej wazie

AUTOR MARSZA OBOZOWEGO

(W STULECIE ZGONU JĘDRZEJA SŁOWACZYŃSKIEGO)

Napisał ANDRZEJ POMIAN

Liryka naszych powstań narodowych i okresów walk o niepodległość: od Konfederacji Barskiej aż po czasy najnowsze, należy zarówno do literatury, jak i do historii polskiej. Zdawać by się zatem mogło, że to podwójne zainteresowanie: polonistów i muzykologów, da w wyniku dokładną znajomość tekstów słownych i muzycznych oraz autorów. Jest jednak inaczej.

Wydania krytycznego — i to tylko tekstów słownych — doczekała się dotychczas na pewno jedynie twórczość poetycko-pieśniarska Konfederacji (1). Piszę: na pewno, bowiem w warunkach emigracyjnych nie zdołałem dotrzeć do antologii Dłużewskiego, poświęconej Insurekcji, nie umiem więc stwierdzić, czy jest to wydawnictwo w pełni naukowe, czy też jedno z wielu popularnych (2).

Osobne obszerne monografie poświęcono poezji Legionów Dąbrowskiego (3) oraz liryce powstania listopadowego (4). Niestety — nie są one na poziomie. Zajmując się szczegółowo podłożem dziejowym albo tematyką i formą utworów, mało mają miejsca na dwie rzeczy, zdawałoby się podstawowe: ustalenie źródeł, krytykę tekstów i rozwikłanie zagadek co do autorów. Toteż nie są one wolne od opuszczeń, przeinaczeń, a nawet — błędów.

Grzechów nie uniknęli i najpoważniejsi historycy literatury. Gabriel Korbut, którego sumiennosc, systematyczność i benedyktyńska pracowitość ratowały nieraz honor polonistów polskich, wymienił „Patrz Kociuszkę na nas z nieba” i „Kto powiedział, że Moskale” jako dwie różne pieśni Rajnolda Suchodolskiego, choć to są tylko cytaty z tego samego jednego „Poloneza”. „Mazura wojennego” (Nasz Chłopiński wojak dzielny, śmiały) przedstawił jako plód nieznanego pióra, mimo że autor, jak to niebawem zobaczymy, nie ukrywał bynajmniej swej tożsamości (5). Manfred Kridl, tak zwykle dbający o ścisłość i poprawność, nie tylko powtórzył za Korbutem błąd o Suchodolskim (nie fatygując się widocznie zajrzeć do tekstu), ale — już na własną rękę — zaliczył najspokojniej „Ułana na widecie” Franciszka Kowalskiego do liryki listopadowej i na dodatek obdarzył wiersz fałszywym tytułem: „Ułan i dziewczyna”. Tymczasem utwór Kowalskiego, bardzo zresztą podczas powstania popularny, napisany został wcześniej, a tematycznie dotyczy wojny z roku 1812. (6)

Jeszcze gorzej rzecz się przedstawia ze śpiewnikami. Ich układacze mało dbają o prawa idealne autorów: pod pozorem, że teksty pieśni ulegają z biegiem czasu w śpiewaniu licznym zmianom, kierują się je bez zędry wedle upodobań osobnych. Rzadko kiedy zresztą zajmują się autorstwem tekstów słownych, a nawet — co jest już zgoła niepojęte — także i muzycznych. Nasze śpiewniki emigracyjne są pod tym względem przykładem wyjątkowego wręcz niedbalstwa. Dwa najpopularniejsze i zarazem najkosztowniej: „Skarbiec pieśni polskiej” Zygmunta Andrzejewskiego (Glasgow 1945) i „Złota księga pieśni polskiej” Adama Harasowskiego (Londyn 1955) aż rżą się od błędów! A błędy te dotyczą nie tylko rzeczy drugorzędnych; wiersz Słowackiego ukazuje się jako beżnienny, Mickiewicz zaś zniekształca się niemiłosiernie, a naj-

bardziej znane pieśni narodowe: „Hymn narodowy” i „Warszawiankę”, zaopatruje się w fałszywe komentarze. (7)

Nic dziwnego, że przy takim lekceważeniu własnego dorobku, jedna z najbardziej znanych pieśni powstania listopadowego, a mianowicie: „Marsz obozowy” (Bracia, do bitwy nadszedł czas) uchodzi albo za utwór nieznanego pióra, albo — mylnie! — za owoc natchnienia Rajnolda Suchodolskiego. (8)

Tymczasem rzecz nie powinna ulegać wątpliwości. Bibliografia Estreichera podaje dokładny opis pierwodruku, o którym czytamy:

„Słowaczyński, Jędrzej: „Marsz obozowy”, ułożony na fortepian przez K. Kurpińskiego, Warszawa 1831, 4-to.

Ze nie mamy do czynienia z błędem, wynika wyraźnie ze świadectwa znanego ówczesnego muzyka i muzykologa Wojciecha (w języku francuskim używał imienia: Albert lub Adalbert) Sowińskiego, który znał Słowaczyńskiego osobiście, był o nim wysokiego mniemania (poète distingué), a w swoich wydawnictwach pieśni powstańczych i melodii polskich uwzględnił go na honorowym miejscu. (9) Sowiński pozwala nam też ustalić z całą pewnością, że Słowaczyński, autor przedpowstańowych wodewilów, Jędrzej Słowaczyński, twórca pieśni powstańczych i André Słowaczyński, uczonego statystyk i geograf emigracyjny — to nie trzy różne osoby, jak tego chce Estreicher, ale jedna i ta sama.

A oto pokrótce kronika życia naszego poety, oparta na zapiskach bibliograficznych Estreichera, notatce Sowińskiego i wiadomościach, rozszaniach tu i ówdzie w starszych przedrukach.

Jędrzej Słowaczyński był rodem z Warszawy. Miał ucho do muzyki i w przedpowstańowej stolicy osiągnął wzięcie, jako tłumacz wodewilów francuskich, a nawet, jako twórca oryginalny. Przed powstaniem ogłosił drukiem następujące utwory:

- 1) „Antoni i Antosia”, komedyo-opera w 1 akcie z francuskiego, Warszawa 1830;
- 2) „Kucharki”, krotofila ze śpiewkami w 1 akcie z francuskiego, Warszawa 1830;
- 3) „Chłopiec studukatowy czyli zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem”, fraszka ze śpiewkami, Warszawa 1830;
- 4) „Waryat z potrzeby”, krotofila ze śpiewkami w jednym akcie, oryginalnie napisana, Warszawa 1830.

Wszystkie one doczekały się wystawienia na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie: wiadomo np., że „Kucharki” ujrzały po raz pierwszy światło kinkietów 12 listopada 1829 roku. Przed powstaniem również wystawiono w Stolicy operę francuską Rossiniego: „Le comte Ory”, której libretto przetłumaczył na polski Słowaczyński. Wątpię, czy rzecz ta ukazała się kiedykolwiek drukiem.

Po wybuchu powstania i objęciu dyktatury przez Chłopińskiego, nasz dotychczasowy miłośnik lekkiej Muzy zmienia swój genre gruntownie. Pisze marsowego „Mazura wojennego” (Nasz Chłopiński, wojak dzielny, śmiały) do muzyki Karola Kurpińskiego, wielce wówczas cenionego kompozytora, dyrektora Opery Warszawskiej i niebawem autora melodii nieśmiertelnej „Warszaw-

MARSZ OBOZOWY

Bracia, do bitwy nadszedł czas,
Trąba do boju wzywa nas:
Do boju! Do boju!
Pośpieszajmy wraz!
Zdradny sąsiad myśl natężył,
Jakby zniszczyć polskie plemie,
Wziął w opiekę, uciemzył,
Rwał na części naszą ziemię.

W mściwą dłoń chwyćmy broń,
Zniknie moc tyrana!
Bij, śpiewaj o wolności,
A przy nas wygrana!

Każdy odważnie czoło staw!
Idźmy w obronie naszych praw,
Do boju! Do boju!
Za świętość naszych praw.
Środe przemoc nas gnębiła,
Podeptano nasze prawa,
Ojców naszych, nasza sława
Pośmiewiskiem wrogów była.

W mściwą dłoń itd.

Precz stąd tyrani, precz stąd, precz!
Bracia, wolności wzniesmy miecz!
Do broni! Do broni!
Wolności wzniesmy miecz!
Ufnosc znikła między nami.
Nagradzano przენiewierstwa.
Otaczano nas szpiegami,
Uprawiano fałsz i zdzierstwa.

W mściwą dłoń itd.

Roty najeźdźców trzeba znieść,
Litwie odzyskać wolność, cześć!
Do Litwy! Do Litwy!
Odzyskać Litwie cześć.
Litwa dotąd jarzmo dźwiga,
Wróg tam pastwi się bezkarnie;
Jakież serce się nie wzdyga
Na bezprawia, na męczarnie?

W mściwą dłoń, chwyćmy broń,
Zniknie moc tyrana!
Bij, śpiewaj o wolności,
A przy nas wygrana!

Śpiewano w Teatrze Narodowym 8 lutego 1831 r., gdy Wódz Naczelny odjeżdżał do obozu.

Jędrzej Słowaczyński

(Tekst wg. J. Horoszkiewicza: „Wspomnienia roku 1830 — 1831”, Lipsk 1880 por. zesz. I. str. 42.)

MARSZ OBOZOWY

(1831)

Słowa: J. SŁOWACZYŃSKI

Muzyka: K. KURPIŃSKI

Tempo di marcia. M.M. ♩ = 138

Bracia, do bitwy nadszedł czas, Trąba do boju wzywa nas: Do boju! Do boju!

Pośpieszajmy wraz! Zdradny sąsiad myśl natężył, Jakby zniszczyć polskie plemie.

Wziął w opiekę, uciemzył, Rwał na części naszą ziemię. W mściwą dłoń,

chwyćmy broń! Zniknie moc tyrana! Bij, śpiewaj o wolności, A przy nas wygrana!

Źródło: Horoszkiewicz, J., „Wspomnienia roku 1830 - 1831”, Lipsk 1880, por. zesz. II str. 30

Nuty pisał Z. Paczyński

wianki". „Mazura" odśpiewano po raz pierwszy publicznie na wieczorze galowym w Teatrze Narodowym 28 grudnia 1830 roku i jeszcze w tymże roku dwukrotnie wydano drukiem. (10) Poeta zasmakował w nowej roli. Owocem dalszej współpracy jego i Kurpińskiego staje się „Marsz obozowy" (Bracia, do bitwy nadszedł czas), śpiewany w Teatrze Narodowym 8 lutego 1831 roku, „gdy Wódz Naczelny (tj. generał Jan Skrzynecki) odjeżdżał do obozu". Obie pieśni cieszyły się wśród współczesnych olbrzymią popularnością, której potrafiło dorównać niewiele utworów.

Tymczasem Słowaczynski, jak tytu innych poetów i pieśniarzy, zaciągnął się do wojska. Służył bodaj pod nieszczęsnym Giełgudem i, kto wie, może kolegował z Konstantym Gaszyńskim. Po klęsce przekroczył granicę pruską. W jakiś czas potem znalazł się w Paryżu, gdzie osiadł na stałe. Pisywał nadal obficie wiersze, o których Sowiński wspomina, że nadawały się doskonale do muzyki (fort bien coupées pour la musique). Zbliżył się do ośrodka politycznego księcia Adama Czartoryskiego. W latach 1834-37 wydawał w Paryżu „Tygodnik Emigracji Polskiej", a następnie w latach 1841-42 — „Narodowość". Jednocześnie odkrył w sobie talent naukowy, obejmujący po trosze historię, ale przede wszystkim — geografię i statystykę. Stał się autorem pierwszego dokładnego opisu ziem polskich, który wydał w Paryżu w kilku częściach w latach 1833-38 pt. „Polska w kształcie dykcjonarza historyczno-statystyczno-geograficznego opisana". Uzupełnieniem poniekąd tego pomnikowego wówczas dzieła był jego „Atlas krain polskich" (Paryż 1844). Inną pracą był tom: „Praga, rys historyczny" (1837).

Renoma Słowaczynskiego, jako geografa, wyszła poza polskie getto emigracyjne. We Francji uznano go za swojego rodzaju znakomitość w tej dziedzinie. Wraz z uczonym francuskim — Amable Lemaitre Moreau, wydał w dwu tomach opis statystyczny Europy pt. „Statistique générale de l'Europe" (Paris 1838). Powodzenie tej pracy skłoniło autorów do ogłoszenia w pięciu częściach dzieła statystyczno-geograficznego o Polsce („Statistique générale de la Pologne", Paris-Leipzig 1839).

Umarł Słowaczynski na wygnaniu, chyba w Paryżu, sto lat temu, w roku 1857.

Historykom literatury polskiej jest zgoła nie znany. Nawet Korbut, który notuje skrupulatnie wszystkie przejawy naszego piśmiennictwa, nie poświęcił mu ani słówka.

Gdyby sądzić Słowaczynskiego po jego pieśniach powstańczych, był rymopisem niskiego lotu. Ocena jednak poetów według tekstów, przykrawanych do potrzeb muzyki, jest zawsze zawodna. Warto by przeto sięgnąć do jego utworów ulotnych, czysto poezyjnych. Nie jest to zadanie łatwe. Nie wydano ich drukiem poza kilkoma, które zamieścił Sowiński. Co stało się z rękopisami — nie wiadomo. Może zachowały się w którejś z bibliotek emigracyjnych (np. Bibliotece Polskiej w Paryżu). A może podzieliły los zbiorów rapperswileńskich i spłonęły we wrześniu roku 1939 podczas oblężenia Warszawy.

Na zainteresowanie zasługuje Słowaczynski z dwójki względu. W dziejach nauki polskiej zapisał się jako pierwszy nasz geograf o europejskiej sławie. I jest autorem dwóch pieśni żołnierskich, które należą do naszego żelaznego repertuaru (zwłaszcza „Marsz obozowy").

Przypisy

(1) „Poezja Barska", opr. Kazimierz Kobuszewski, Kraków 1928, Biblioteka Narodowa, Seria I, nr 108.

(2) „Poezja powstania Kościuszkowskiego", opr. Jan Nowak-Dłużyński, Kielce 1946.

(3) Smolarski, Mieczysław: „Poezja Legionów. Czasy, pieśń i jej dzieje", Kraków 1912.

(4) Smolarski, Mieczysław: „Poezja powstania listopadowego", Kraków 1911. Znamirska, Janina: „Liryka powstania listopadowego", Warszawa 1930.

(5) Korbut, Gabriel: „Literatura polska od początków do wojny światowej", wyd. II, 4 t., Warszawa 1929-31, por. t. III.

(6) Kridl, Manfred: „Poezja w latach 1795-1863" (w „Dziejach literatury pięknej w Polsce", wydawnictwie zbiorowym Polskiej Akademii Umiejętności, wyd. II, część II, Kraków 1936, por. str. 54-55). Mity mają twarde życie. W barwnym szkicu literackim p. Maria Danilewiczowa opisuje, jak to Kowalski ułożył pieśń podczas oblężenia Zamostcia w roku 1831 (niestety, nie zanotowałem czasopisma, w którym szkic się ukazał w roku 1956).

(7) Andrzejowski umieszcza początek „Pieśni odpywających" ze „Zmii" Słowackiego, jako utwór bezimienny (poz. 51 pt. „Czajki"), „Pieśń" z „Konrada Wallenroda" Mickiewicza zniekształca, opatrując mylną datą (poz. 52, pt. „Wilija"), a o „Warszawiance" pisze stanowczo, że śpiewano ją w czasie bitwy pod Grochowem (poz. 29), choć bitwa odbyła się pod koniec lutego, a muzyka Kurpińskiego datuje się z początku kwietnia roku 1831. Harasowski podaje tekst „Hymnu Narodowego" („Pieśni Legionów Polskich we Włoszech") z błędami, a muzykę jego przypisuje nadal Ozińskiemu. A przecież już od lat bez mała dwudziestu wiadomo, że jest to melodia ludowa, zna-

na nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach słowiańskich (Reiss, Józef: „Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska", Kraków 1946, por. str. 104). „Marsz Legionów Polskich w Lombardii", jeden z trzech marszy, skomponowanych przez Ogińskiego w latach 1797-98 i uważany przez długi czas za pierwowzór „Pieśni Legionów", w rzeczywistości nie ma z nią nic wspólnego (Jachimiecki Zdzisław: „Muzyka polska w rozwoju historycznym od czasów najdawniejszych do doby obecnej", t. I, cz. 2, Kraków 1951, por. str. 126-7).

(8) Jako utwór bezimienny podają go: dwoje cytowanych powyżej monografistów: Smolarski i Znamirska; wydane bądź wznowione na emigracji śpiewniki Lea, Barańskiego i Adamskiego; najlepsza antologia powstania listopadowego, a mianowicie: „Wspomnienia roku 1830-1831" (Wiersze, pieśni z muzyką, marsze wojska polskiego, Lipsk 1880) J. Horoszkiewicza; wreszcie — najnowszy wybór liryki powstaniowej w opracowaniu Anny Belcikowskiej („Powstanie listopadowe", zbiór pieśni i poezji, Warszawa 1930).

Suchodolskiego, jako autora, wymieniają śpiewniki emigracyjne: „W marszu" Adama Dylağa i Wiarosława Sandelewskiego (zesz. I, Palestyna 1944) oraz „Idzie żołnierz" Bronisława Rutkowskiego (wyd. II, Rzym 1946).

(9) Sowiński, Albert: „Les musiciens polonais et slaves", Paris 1857, por. str. 504. Patrz również Sowińskiego: „Airs chantés pendant la révolution en Pologne"; „Chants de la Révolution du 29 novembre" (Paris 1832) i „Melodies polonaises" (Paris 1833).

(10) Słowaczynski, Jędrzej: „Mazur wojenny na cześć Chłopcickiego" do śpiewu z tow. fortepianu, muzyka Kar. Kurpińskiego, Warszawa 1830. Tenże: „Słowa do mazura wojennego zwanego mazurem Chłopcickiego", Warszawa 1830.

MODLITWA ZA KOŚCIÓŁ MILCZENIA

ulożona przez Ojca św. a XII

O Panie Jezu, Królu męczenników, pociecho strapionych, wsparcie i podpora tych, którzy cierpią w imię miłości Twojej i w imię wierności Oblubienicy Twojej, Świętej Matce Kościołowi, wystuchaj łaskawie modłów naszych gorliwych za Kościół Milczenia — braci naszych! Niechaj nie tylko nigdy nie ustana w walce, ani zachwieją się w wierze, lecz niech raczej dostąpią słodczy pocieszenia, zachowanego przez Ciebie dla dusz, które racysz wołać na wyżyny krzyża, aby Ci się stały towarzyszami.

Tym, którzy muszą cierpieć gwałty i katusze, głód i uciążenie, bądź twierdzą niewzruszoną, chroniącą ich w chwilach do-

świadzeń i dającą im pewność nagro-

obiecanej temu, który wytrwa do końca. Tym, których poddano moralnym naciskom, o tyle często groźniejszym że podstępny, bądź światłem rozjaśniającym umysły ich tak, aby widzieli prostą drogę prawdy, oraz bądź siłą, która podtrzyma ich wolę i da im przetrwać każdy przełom, wahanie i zmęczenie wszelkie.

Tym, którzy nie mogą jawnie wiary swej wyznawać, trzymać się ściśle przepisów chrześcijańskiego życia, często przystępować do Sakramentów Świętych, ni po synowsku z przewodnikami swymi duchowymi obcować, bądź Sam ukrytym ołtarzem, niewidzialną świątynią, łaską najobfitszą i ojco-

wskim głosem, który dusze pogrążone w boleści wspiera, ożywia i leczy, dając im radość i pokój.

Niech ich żarliwa modlitwa nasza wspomaga; niech im braterska nasza jedność da odczuć, że nie są sami; niech przykład ich stanie się zbudowaniem dla nas, którzy z wielkim uczuciem o nich pamiętamy.

Pozwól, o Panie, aby skrócone były dni ich doświadczeń, by wszyscy — wraz z nawroconymi ich prześladowcami — mogli już jak najrychlej swobodnie Ci służyć i wielbić Ciebie, który z Ojcem i Duchem Świętym żyjesz i królujesz przez wszystkie wieki wieków. Amen.

ENCYKLIKA OJCA ŚWIĘTEGO PIUSA XII

„INVICTI ATHLETAE CHRISTI"

na 300-lecie śmierci męczeńskiej św. Andrzeja Boboli

Wstęp

Pragniemy, by wszyscy w całym świecie, którzy szczerzą się imieniem katolickim rozważyli pobożne męczeństwo i świętość życia niewzruszonego zapaśnika Chrystusowego Andrzeja Boboli w trzecieście rocznicę Jego śmierci. Chcemy, by to uczynili zwłaszcza synowie Najdroższej nam Polski, dla których jest On chlubą i wspaniałym przykładem męstwa.

Nie chcemy pominąć milczeniem tej uroczystości, która w historii Kościoła zapisała się złotymi zgłoskami, by nie wspomnieć o niektórych danych z Jego życia i cnót, a Wam, Czeigodni Bracia, oraz owczarni waszej trosce powierzony, nie podać Go tą Encykliką do naśladowania w sposób odpowiedni do stanowiska i warunków w jakich każdy z was żyje.

To, co zdaje się najwięcej występować w życiu Andrzeja Boboli, to wiara katolicka, której moc wspomaganą łaską, tak z latami wzrosła, że stała się cechą, która najwięcej Go zdobiła i umacniała Jego ducha do męznego przecierpienia męczeństwa.

Zasada wypowiedziana przez Apostoła „Sprawiedliwy mój z wiary żyje" (Hebr. 10, 38) w Nim jaśnieje szczególnym blaskiem. Cokolwiek bowiem Kościół Katolicki do wierzenia podawał, cokolwiek polecał czynić, On przyjmował silnym umysłem i wolą starał się w czyn wprowadzić. Dlatego wszystkie nieuporządkowane popędy, które po nędznym upadku Adama zakłócają naszą naturę i tak łatwo prowadzą do rzeczy zakazanych, starał się usilnie już od wczesnego wieku powściągnąć i uporządkować, a swoją duszę jak najbardziej przyozdobić chrześcijańskimi cnotami.

I (Część historyczna)

Przyszedł na świat w r. 1591 w okolicach Sandomierza z wybitnej rodziny szlacheckiej, ale jeszcze więcej sławnej cnotą i stałością w wierze. Obdarzony dobrymi zdolnościami i bystrym umysłem, otrzymawszy w domu od młodziutkiego wieku dobre i chrześcijańskie wychowanie, oddany zostaje do szkół jezuickich, gdzie zajaśniał skromnością i pobożnością. Wzgardziwszy tym, czym świat się chlubi i jego marnościami, sięgając po „lepsze dary" (I. Cor. 12, 31) wkrótce jako 19 letni młodzieniec wstępuje do Towarzystwa Jezusowego, by łatwiej zdążyć do doskonałości ewangelicznej i przyjęty zostaje do Nowicjatu w Wilnie. Pomny napomnienia Jezusa

Chrystusa „Jeśli kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie, a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną" (Luc. 9, 23) z dnia na dzień coraz ohotniej zdąża do osiągnięcia cnoty pokory przez wzgardzenie samym sobą. Będąc z natury wyniosły, niecierpliwy, nieco uparty, musiał nieustępliwie walczyć z sobą i jakby krzyżem obarczony wspinać się na górę Kalwarii, by dojść do tego szczytu cnoty, na którym mógł wreszcie przyozdobić się pięknem chrześcijańskiej doskonałości z pomocą łaski Bożej, którą sobie wypraszał gorącą i nieustanną modlitwą, układając postępowanie swoje według mądrej zasady św. Bernarda: „Duchowy gmach nie może stać mocno, jak tylko na stałym fundamencie pokory". (In Cant. serm. 36 n. 5; P. L. 183, 969 - D) Płonął szczególniejszą miłością zwłaszcza ku Bogu oraz ku bliźnim. Dlatego nie było dlań przyjemniejszym, jak spędzać całe godziny przed Tabernakulum ilekroć mógł i w miarę możności przychodzić z pomocą cierpiącym różne biedy. Boga kochał nade wszystko, więcej niż siebie samego, a Jego chwałę szukał we wszystkim według nakazu swego Zakonodawcy. Do Niego można zastosować w czyn wprowadzoną zasadę wyżej wspomnianego Doktora Kościoła: „Tyko Tego należy pragnąć, który pragnienie może zaspokoić". (In dedic. Eccl. serm. IV. n. 4; P. L. 183, 528 - D).

Nie dziw więc, że tymi darami obdarzony Mocarz Jezusa Chrystusa takie postępy uczynił na polu pracy apostołkiej i tyle mógł z niej zbawczych zebrać owoców. Zapalony był przede wszystkim gorliwością o zachowanie, poszerzenie i obronę wiary katolickiej. Już pełniąc zadanie nauczyciela chłopców tak w Wilnie, jak i w innych miastach, wdrażał ich z wielką pilnością w zasady nauki chrześcijańskiej i szepelił w nich kult Eucharystii wraz z gorącym nabożeństwem do Matki Bożej, Niepokalanej Dziewicy.

Później, gdy wyniesiony już został do godności kapłańskiej — tego samego roku i tego samego dnia, którego w Rzymie Ignacy i Franciszek Ksawery zostali zaliczeni w poczet Świętych, — za najważniejsze swe zadanie uważał świętymi misjami i kazaniem rozszerzać wiarę katolicką i starać się, by ona nie była jałowa, lecz płodna w dobre uczynki.

Skoro zaś religia katolicka znalazła się w niebezpieczeństwie na wschodnich rubieżach z powodu działalności schizmatyków, którzy na wszelki sposób starali się odwieść wiernych od jedności z Kościołem i pozyskać ich dla swoich

LEKARSTWA WOLNE OD CŁA

GRABOWSKI



EKSPORTUJE — WSZYSTKO

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA

M. B. GRABOWSKI

175 Draycott Avenue, London, S.W.3.

Tel.: KEN 0750 i 9656.

Andrzej Pomian

błędów, Andrzej na życzenie swych przełożonych udaje się w te okolice i przebiegając tamtejsze miasta, miasteczka i wioski już to publicznymi kazaniem, już to prywatnymi rozmowami, a zwłaszcza urokiem swej świętości i apostołską gorliwością uwolnił od błędów nadwątloną wiarę u wielu chrześcijan, doprowadził do zdrowych zasad, i kogo tylko mógł sprowadził szczęśliwie do jedynego owczarni Jezusa Chrystusa. A nie tylko osłabioną i upadłą wiarę chrześcijan podniósł i umocnił, lecz doprowadził ich do żalu za grzechy, do usunięcia niezgody, do odnowy dobrych obyczajów i to w takiej mierze, że którądy przeszedł, jak Boski Mistrz wszędy dobrze czyniąc, tam jakby nowa wiosna zakwitła zdobna niebieskimi kwiaty i zbawczymi owocami, dlatego jak wieść niesie, przez wszystkich, nawet przez odszczepieńców, zwany był „duszo-chwatem“.

Niez mordowany Apostoł Jezusa Chrystusa jak z wiary żył, wiarę gorliwie krzewił i jej bronił, tak też nie zawahał się ponieść śmierć za wiarę.

Pomiędzy prawie niezliczonymi prześladowaniami wiary katolickiej trzeba wspomnieć znane i ponure prześladowanie, które w 17 wieku nawiedziło wschodnie okolice, gdy kozackie oddziały napadały na katolików, ich pasterzy i głosicieli Ewangelii. Można było oglądać zburzone budynki przeznaczono na kult Boży, spalone klasztory, kapłanów i wiernych zabijanych, niszczone wszystko, rzeczy święte rozrzucone.

Andrzej Bobola, który mógł o sobie powiedzieć: „Nic... co jest Bożego, za obce sobie nie uważam“ (S. Bern. Epist. 20, ad Card. Haimericum; P. L. 182, 123. B), nie obawiając się ani śmierci, ani męki, zapalony miłością Boga i bliźniego rzucił się w sam wir walki, by wszystkich, których mógł, odwieść od zaparcia się wiary, od zasadzek i błędów odszczepieńczych, by zachęcić do zachowania odwaznym sercem całości i czystości nauki katolickiej.

Lecz dnia 16 maja roku 1657 w święto Wniebowstąpienia Jezusa Chrystusa blisko Janowa zostaje pochwycony przez wrogów imienia katolickiego. Sądźmy, że to schwywanie nie strach w nim wzbudziło, lecz raczej niebieską radość, gdyż wiemy, że stale żyzył sobie męczeństwa i ciągle miał w pamięci słowa Boskiego Zbawcy: „Błogosławieni jesteście, gdy wam będą złorzeczyć i będą was prześladować i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamiąc dla mnie. Radujcie się i weselcie, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebieszech; bo tak prześladowali proroków, którzy byli przed wami“ (Matth. 5, 11-12).

Wzdryga się umysł na wspomnienie tych wszystkich tortur, które zapaśnik Jezusa Chrystusa przecierpiał z niewzruszonym męstwem i niewzruszoną silną wiarą. Albowiem „ubiczowany, spoliczkowany, ciągniony na sznurze przez jadącego przed nim na koniu, odbywa drogę bolesną i krwawą do Janowa, gdzie miał być poddany śmiertelnym torturom. W tym boju Polski Męczennik osiągnął tryumf dorównujący najchwalebniejszym tryumfom, jakie Kościół sławi. Zapytany czy jest łacińskim kapłanem Andrzej odpowiedział: „Jestem kapłanem katolickim; urodzony w wierze katolickiej w tej wierze chcę umrzeć. Moja wiara jest prawdziwa, prowadzi do zbawienia. Raczej wy się nawróćcie; czynicie pokutę, bo inaczej w waszych błędach zbawić się nie możecie; przyjmując moją wiarę poznacie prawdziwego Boga i zbawicie wasze dusze“ (Litt. Decr. Pii XI „Ex aperto Christi latere“; A. A. S. vol. XXX. 1938, p. 359).

Te słowa zamiast wzbudzić u zbrodniarzy jakieś ludzkie uczucia, jeszcze bardziej podrażniły ich dzikość, która pchnęła ich do zadawania jeszcze większych cierpień Chrystusowemu żołnierzowi. Powtórnie „zostaje sieczony nahażkami, uwito Mu koronę na głowę, na wzór Jezusa Chrystusa, policzekowany i krzywą szablą raniony upada. Następnie wykluwają mu prawe oko, zdzierają skórę z różnych miejsc ciała, bezlitośnie przypiekają rany i trą je ostrą sianą. I tego wydaje im się być za mało, bo obcinają Mu wargi i nos, wyrrywają język, przez otwór uczyniony w tyle szyi, szydem chcą przebić serce. Wreszcie dzielny zapaśnik Chrystusa o godzinie trzeciej po południu, okazując dziwną naprawę moc ducha, szablą cięty, dostąpił męczennickiej chwały“ (Homilia Pii XI in canonicis S. Andreae B; A. A. S., vol. XXX, 1938, p. 152-153).

Jak niebo tryumfalnie przyjęło niezwyciężonego męczennika odzianego w purpurę własnej krwi, tak na ziemi, widząc jego jaśniejącą świętość przez Boga poświadczoną i potwierdzoną cudami, Kościół podał Go całej chrześcijańskiej społeczności ku czci i naśladowaniu. Albowiem w roku 1938 Nasz Poprzednik nieśmiertelnej pamięci Pius XI uroczystie zaliczył Go w poczet świętych.

II (Część moralna)

Spodobało się Nam dotknąć w tej Encyklice bardzo krótko najważniejszych rysów życia i świętości Andrzeja Boboli, by wszyscy synowie Kościoła na całym świecie nie tylko z podziwem na Niego spoglądali, lecz także wiernie naśladowali czystość nauki chrześcijańskiej, nieskażoną wiarę i moc ducha tego, który aż do męczeństwa walczył o cześć i chwałę Jezusa Chrystusa. Niechaj przy tych jubileuszowych uroczystościach, za Waszą sprawą i za Waszą zachętą Wielebni Bracia, wszyscy rozważają jego wzniosłe cnoty i za swój obowiązek niech uważają iść jego świętymi śladami.

Niestety dziś wiara chrześcijańska w niektórych miejscach osłabiona podupada lub niemal wygasa. Ewangeliczna nauka — bywa często wielu jest prawie nieznaną; przez innych — co gorsza — była całkiem odrzucona, jako obca ludziom postępowym, którzy na tej ziemi bez Boga, a więc sami ze siebie, własnym umysłem, własnymi siłami, własną mocą zdobywają wszystko, co im potrzebne do życia, do działania, do wnikania w zasady i elementy natury, i zaprzęgnięcia jej w służbę dla ogólnego użytku i dobrobytu obywateli. Nie brak także i takich, którzy starają się z serc innych, zwłaszcza ludzi niewykształconych i prostych, albo już ich błędami zarażonych, wiarę chrześcijańską obalić albo do gruntu wydrzeć, tę wiarę, która dla biedniejszych z nich jest jedyną w tym życiu pociechą, a na jej miejsce przyszedł cudowną szczęśliwość, której przecież w pełni na tym ziemskim wygnaniu osiągnąć nie można. Ku czemukolwiek bowiem ludzkość spogląda, do czegokolwiek zmierza, gdy od Boga się oddala, zamiast cieszyć się używaniem rzeczy w pokoju i zgodzie serc i umysłów, dręcząc się i niepokoi jakby wstrząsana dreszczem gorączki i podczas gdy z lękiem zabiega o ziemskie bogactwa, wygody, rozkosze i w nich wyłącznie ufnosć pokłada, goni za czymś co przed nią ucieka, opiera się na czymś co się jej usuwa. Albowiem bez Boga i bez Jego świętych praw nie ma należytego porządku wśród ludzi, nie ma prawdziwego szczęścia skoro brak niewzruszonej podstawy życia prywatnego, jak i normowania i kierowania współżyciem ludzi społecznym. Ponadto, o czym dobrze wiecie Czcigodni Bracia, naszego ducha mogą tylko niebieskie i wieczne wartości nasycić i zaspokoić, a nie zmienne i przemijające. Nie wolno też utrzymywać, jak wielu lekkomyślnie twierdzi, iż nauka katolicka przeciwstawia się światłu ludzkiego umysłu, gdyż przeciwnie, dodaje mu ona jasności i sły odwodząc go od złudnych pozorów prawdy i przypuszcza go do szerszej i wyższej dziedziny rzeczy poznawalnych. Bożej Ewangelii to jest nauki Jezusa Chrystusa, którą Kościół katolicki mocą danego sobie zlecenia autentycznie wyklada, nie wolno uważać za coś co się przeżyło i skończyło, lecz oceniać ją należy jako coś żywego i żywotnego, co jedno może wskazać drogę pewną i prostą do osiągnięcia prawdy, sprawiedliwości i wszystkich cnót, umożliwić bratnią zgodę i pokój, a prawom, instytucjom, społeczeństwu dać prawdziwe i niewzruszone podstawy.

Ci co się głębiej nad tym zastanowią łatwo pojmą dlaczego Andrzej Bobola tak ochoczo i mężnie podejmował tyle prac i trudów, by zachować nietkniętą wiarę swych współobywateli, dlaczego wszelkimi siłami zastaniał ich obyczaje od tyłu niebezpieczeństw i podstępów, dlaczego nieustannie prowadził ich do cnót chrześcijańskich.

A ponieważ dziś także, Czcigodni Bracia, jak już wspomnieliśmy, religia katolicka narażona jest w wielu miejscach na wielkie niebezpieczeństwa, trzeba jej bronić na wszelki sposób, wyjaśniać ją i krzewić. W tej sprawie tak wielkiej wagi niech Wam służą pomocą nie tylko kapłani, którzy z powierzonego im urzędu mają was wspomagać, lecz także ludzie świeccy obdarzeni wielkodusznością i umysłem zdolnym do staczania pokojowych Bożych bojów. Im śmieiej wrogowie

Boga i nieprzyjaciele chrześcijańskiej wiary zwalczają Jezusa Chrystusa i założony przez Kościół, tym dzielniej nie tylko kapłani, lecz i inni, którzy szczerą się imieniem katolików, winni czy to w przemówieniach, czy w pismach rzucających w lud, czy zwłaszcza szlachetnym przykładem przeciwko nim walczyć, oszczędzając zawsze osoby, lecz broniąc prawdy. A chociażby przy spełnieniu tego obowiązku trzeba było pokonać wiele przeciwności, narazić się na stratę czasu i rzeczy, niech się od niego nie uchylają pomnąc na powiedzenie, że działać i wiele cierpieć jest właściwością chrześcijańskiej cnoty, którą sam Bóg przeobficie wynagrodzi wieczną szczęśliwością. W tej cnotce tkwi zawsze coś z męczeństwa, jeśli codziennie chcemy zmierzać do chrześcijańskiej doskonałości. Nie samym bowiem wylaniem krwi składamy Bogu świadectwo naszej wiary, lecz również przez mężne opieranie się grzeszynom pocągłom i wielkodusznym oddaniem siebie samych i wszystkiego co posiadamy Temu, który jest naszym Stworzycielem i Odkupicielem, a kiedyś w niebie będzie nigdy nie przemijającą radością.

Niech więc wszyscy biorą sobie za wzór duchową moc męczennika Andrzeja Boboli, niech jego wiarę i oni zachowują nienaruszoną i niech jej bronią wszelkimi siłami. A jego apostołską gorliwość niech tak naśladowują, by Królestwo Jezusa Chrystusa na ziemi wszelkim sposobem, na jaki ich stać, utrwalić i poszerzać w miarę, na jaką pozwalają warunki ich życia.

Jakkolwiek te ojcowskie zachęty i życzenia pragniemy skierować do wszystkich Czcigodnych Pasterzy i do owczarni im powierzonych, to jednak szczególnie mamy na myśl tych, co polskie kraje zamieszkują. Ich bowiem szlachetną chlubą i chwałą jest Andrzej Bobola, skoro z ich narodu pochodzi i skoro ten naród nie tylko wstawił blaskami tych cnót, lecz także przyodziął purpurą męczennicką krwi. W jego świetlane ślady wstępując niech nadal kochają wiarę swych ojców wbrew wszelkim zasadzkom. Niech dokończą wszelkich starań, by pielęgnować obyczaje chrześcijańskie. Niech dobrze zdadzą sobie z tego sprawę, że szczególnym tytułem chwały ich ojczyzny jest: dorównanie przodkom w niewzruszonej stałości cnoty i dokonanie tego, by Polska była zawsze wierna i pozostała „przedmurzem chrześcijaństwa“. Albowiem sam Bóg zdaje się jak ucy „historia, świadek czasów, światło prawdy... mistrzyni życia“ (Cic. De Or. 2. 9, 36) — powierzył to zadanie Narodowi Polskiemu. Niech więc to zadanie starają się zawsze wypełniać czynnie i wytrwale, unikając podstawnych zasadzek oraz pokonując z łaską Bożą wszelkie trudności i przeszkody. Niech oglądają się na nagrodę, którą Bóg przyobiecał tym wszystkim, co z całą wiernością, ochoczą gorliwością,

plomiennym sercem żyją, działają, walczą o zachowanie i rozszerzenie jego pokojowego Królestwa.

Nie możemy powstrzymać się, by przy danej sposobności nie zwrócić się bezpośrednio w tej Encyklice w szczególniejszy sposób do najukochańszych synów Polski, a zwłaszcza do tych Biskupów, którzy przecierpieli ból i utrapienie dla Imienia Jezusa Chrystusa: „Działajcie mężnie, lecz tą chrześcijańską siłą ducha, która łączy się z roztropnością, przezornością i mądrością. Zachowajcie katolicką wiarę i jedność. Niech wiara będzie opasaniem nerek waszych (cfr. Is. 11, 5), niech będzie opowiadana po całym świecie (cfr. Rom. 1, 8); niech będzie dla was wszystkich „zwycięstwem, które zwycięża świat“ (I. Jo. 5, 4). Dokonujcie zaś tego „patrzac na Jezusa, sprawcę i dokonawcę wiary, który mając przed sobą wesele, podjął krzyż, nie bacząc na hańbę i siedzi po prawicy stolicy Bożej“ (Hebr. 12, 1).

Tak postępując osiągniecie, iż wszyscy Niebianie, zwłaszcza ci, co z waszego plemienia pochodzą, wraz z Bogarodzicą Dziewicą Maryją, Królową Polski będą z wyżyn wiecznej szczęśliwości spoglądać łaskawie na was i na waszą ukochaną ojczyznę, będą ją chronić i otaczać swą opieką.

Ażeby się to spełniło, bardzo pragniemy Czcigodni Bracia, abyście wszyscy razem z poszczególnymi wiernymi całego świata zanosili korne modły do Boga, zwłaszcza w czasie tych jubileuszowych uroczystości, by tym zwłaszcza, którzy w większym znajdują się niebezpieczeństwie i na większe trudności są narażeni, raczył użyć obfitych swych darów i pociech niebieskich.

Tymi wspólnymi modłami i to u najłitościwszego Boga uprosimy, że tak upragniona zgoda między wszystkimi narodami nareszcie zostanie przywrócona, i że prawa oraz zadania świętego Kościoła, które najwięcej przyczyniają się także do dobra ludzkiej społeczności, zostaną jak należy przez wszystkich uznane i prawnie oraz szczęśliwie wszędzie w życie wprowadzone.

Najgorętsze nasze modły łączymy z waszymi, by to się uskutečniło; a jako zadatek niebieskich łask i jako dowód Naszej ojcowskiej życzliwości wszystkim wam z osobna Czcigodni Bracia i wszystkiemu chrześcijańskiemu ludowi udzielamy pełnym miłości sercem Apostolskiego Błogosławieństwa.

Dan w Rzymie, u św. Piotra, dnia 16 maja — to jest w rocznicę dnia, w którym trzysta lat temu św. Andrzej Bobola otrzymał palmę męczeństwa — roku 1957, Naszego Pontyfikatu dziewiętnastego.

PAPIEŻ PIUS XII

LIST KSIĘDZA PRYMASA POLSKI

po powrocie od Ojca Świętego

Najmilsze w Panu Dzieci Boże!
Umilowani Rodacy!

Przedstawicielstwo Episkopatu i całego Kościoła św. w Polsce powróciło do Ojczyzny, po 6 tygodniach pobytu w Wiecznym Mieście. Gorąco pragniemy przekazać wszystkim, którzy poczuwają się do wspólnoty z nami w jednej wierze i chrześcijańskiej kulturze, wyrazy naszej radości z tego, że mogliśmy oglądać Piotra w osobie Piusa XII, że mogliśmy złożyć hold należny od nas widzialnej Głowie Kościoła św., Zastępcy Chrystusa Pana na ziemi, że mogliśmy stwierdzić publicznie naszą wspólnotę z powszechną rodziną rzymskokatolicką, że mogliśmy otrzymać błogosławieństwo Najwyższego Pasterza na ziemi i usłyszeć słowa Jego umocnienia i pociechy.

1) Mijało właśnie sześć lat od dnia, w którym ostatni Biskup z Polski byli widziani w Rzymie. Któż tego nie od-

czuwa, jak wielkim doświadczeniem dla dzieci jest nie widzieć Ojca swego? Któż z Was nie bolał głęboko nad tym, że my Biskupi Polski katolickiej nie mogliśmy zasiadać w Rzymie w gronie innych Biskupów wielkiej rodziny świata katolickiego? Nic przeto dziwnego, że od dawna pragniemy stanąć przy Grobowcu św. Piotra i prosić Jego Następcę o błogosławieństwo. To wielkie pragnienie Episkopatu Polski wypełniło się w dniu 8 maja, w uroczystość św. Stanisława Biskupa, gdy Kardynał Prymas i trzej Biskupi, jako przedstawiciele całego Episkopatu i wiernych stanęli w Wiecznym Mieście.

W tym pragnieniu i w tej radości naszej wyraża się cały, głęboko religijny i duchowy cel naszej pielgrzymki do Stolicy chrześcijaństwa. Do tego celu zasadniczego dla Kościoła w Polsce, dołączył się cel osobisty Prymasa Polski — przyjęcie kapelusza kardynalskiego z rąk Ojca św., czego nie można było dokonać od stycznia 1953 roku. Rzecz oczywista, że podróż Biskupów Polski do Rzymu miała i inne wielkie, doniosłe dla sprawy Polski w świecie znaczenie. Sam fakt, że Księga Bi-

skupi mogli przybyć do Rzymu podniósł i poprawił opinię świata cywilizowanego o stosunkach panujących w ojczyźnie naszej.

2) **Prowadziła nas do Rzymu Dziewica Wspomożycielka, Pani Jasnogórska i Królowa Polski**, której dobre Oblicze wzięliśmy w darze dla Ojca świętego, jako widomy znak duchowej jedności „Polski zawsze wiernej“ ze Stolicą świętą.

W swej siedzibie na Watykanie, Namiestnik Chrystusowy przyjął nas z wielką radością i okazał głęboko ojcowskie serce. Dwa razy przedstawicielstwo Episkopatu Polski mogło stanąć przed obliczem Głowy Kościoła, na prywatnych i na wspólnych posłuchaniach. Z wielką wyrozumiałością odniósł się Ojciec św. do mej prośby, by obrzęd włożenia kapelusza kardynalskiego miał jak najbardziej skromny i rodzinny charakter. Z radością przyjął nasz dar — kopię obrazu Pani Jasnogórskiej. Wysłuchał życzenia Księży Biskupów i poświęcił osobiście drugi przywieziony przez nas obraz Matki Bożej Jasnogórskiej, który z błogosławieństwem Ojca św. wrócił do Kraju i rozpocznie niedługo nawiedzanie naszych świątyn parafialnych, by przygotować naród na Tysiąclecie Chrześcijaństwa w Polsce. Na wspólnym posłuchaniu, w dniu 13 czerwca, przyjął Ojciec św. wraz z Biskupami polskie duchowieństwo miasta Rzymu, diecezjalne i zakonne oraz studiującą w Instytutach i Kolegiach polskich młodzież duchowną. W czasie tego posłuchania przemawiał bardzo serdecznie do obecnych, z głębokim wzruszeniem składając uznanie dla narodu za wierność Kościołowi, za męstwo chrześcijańskie i budującą cierpliwość. Zapewniał Księży Biskupów o swoich najserdeczniejszych uczuciach dla Polski, o pełnym podziwie dla narodu. Rozmawiał z każdym niemal kapłanem i alumnem polskim. Każdy miał możliwość uczcić Najwyższego Pasterza Pasterzy i Owiec. Wreszcie zaszczylił nas dwukrotnie wspólną fotografią. Pożegnał nas po polsku słowami: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wynieśliśmy z tych krótkich chwil wrażenie tak potężne, że skłaniało do milczącej wśród też radości.

3) Z wielkiej łaskawości Ojca św. **przynana została Prymasowi Polski jako tytuł Kardynała-Prezbytera, Bazyliki Najsw. Maryi na Zatybrzu**, pod wezwaniem Wniebowzięcia. Tytuł ten objąłem w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego, dnia 30 maja. Dało to powód do wielkiej manifestacji religijnej ludu zatybrzańskiegogo na cześć Polski katolickiej. Zebrany licznie lud dawał wyraz swej sympatii i wspólnoty duchowej ze swoją katolicką siostrzycą w Chrystusie, daleką a jednak tak bliską, tym bliższą sercom ludzkim dla swej głośnej już w całym świecie wierności Kościołowi, pomimo tylu doświadczeń i cierpień.

Ojciec św. hojnie odwzięczył się Polsce za dar, który przywieźliśmy do Rzymu. Wzamiar za dwakroć zranione oblicze Zwycięskiej Królowej Polski otrzymał Kardynał Prymas pod swoją opiekę w Bazylice na Zatybrzu otoczony czcią wizerunek Matki Bożej Łaskawej, który tak bardzo przypomina nam Matkę Jasnogórską. W tej najstarszej w Rzymie świątyni Maryjnej, wzniesionej w III wieku, Matka Boga tronuje w mozaikowej absydzie, wraz z Chrystusem, otoczona Jego synowskim ramieniem. Tutaj też uśmiecha się do ludu swojego, już od VIII wieku, Matka Boża Łaskawa. A wszystkie ściany świątyni opowiadają w tylu obrazach o życiu i chwale Matki Najświętszej. Prawdziwie, jest to opatrnościowo dobrana dla nas świątynia, dla narodu, który całą nadzieję swoją złożył w ręce Tej, która sama jedna zwyciężyła na świecie wszelkie błędy.

4) **Nakładając Kardynałowi-Prymasowi kapelusz kardynalski Ojciec św. wypowiedział te piękne słowa ceremoniału:** „Na chwałę Boga Wszehmocnego, dla świetności świętej Stolicy Apostolskiej przyjmij ten czerwony kapelusz, oznakę godności kardynalskiej na znak, że dla wywyższenia Stolicy świętej, dla pokoju i ładu wśród ludów chrześcijańskich, dla wzrostu i zachowania Kościoła rzymskiego masz się okazać nieustraszoną aż do wylania krwi, nie wyłączając nawet śmierci“.

W prasie zagranicznej podkreślano, że słowa te już w części są potwierdzeniem tego co było. Można je odnieść do

wszystkich Biskupów polskich, gdyż w obecnym składzie Episkopatu naszego niemal wszyscy Arcypasterze Polski przeszli w życiu swoim przez obozy koncentracyjne, więzienia, wygnanie lub odosobnienie. Jest to szczególne znamię Episkopatu naszego, które utrzymało nas w jedności, wiernych prawom Kościoła św. i nadal pozwoli wypełnić przykazanie Chrystusowe: „aby wszyscy byli jedno“.

5) **I z Rzymu na Ojczyznę łono prowadziła Biskupów naszych Pani Jasnogórska** w obrazie pobłogosławionym przez Ojca św. Dążyła z nami, aby rozpocząć swoją wędrówkę „Nawiedzenia“ i patronować pracy przygotowawczej narodu na Tysiąclecie Chrześcijaństwa Polski.

Od wieków naród wędrował na Jasną Górę Zwycięstwa. Patrzył wiernie w dobre Oczy swej Matki i rozpoznawał w Jej dziewiczym Obliczu — Syna Bożego. Od dziś rozpoczyna się w Polsce rewizyta, nawiedzanie świątyni całej Polski, „ingres“ Maryi w codzienne życie nasze. Przecież przyrzekliśmy Jej tak je odmienić, przez wykonanie ślubów Jasnogórskich, by odnowiło się oblicze ziemi polskiej.

Zachętą dla nas będzie upomnienie wielkiego Rodaka naszego **Stanisława Kardynała Hozjusza**, Biskupa tej Warmii, która dziś powróciła w granice odnowionej Polski. Przed czterema wiekami był na Zatybrzu naszym poprzednikiem, a dziś spoczywa w tej świątyni. Marmury pomnika wołają do Polaków słowami mężnego pogromcy herezji: „Nie jest katolikiem kto odstępuje w nauce wiary od Kościoła Rzymskiego“. Nieustraszonego obrońcę czystości Wiary, zwłaszcza na Soborze Trydenckim, któremu z woli Piusa IV przewodniczył wielki Biskup Warmii. Jak ongiś i dziś, z księgi kamiennej pomnika mówi do nas: „Tak pisałem do Was o tych, którzy Was uwodzą“.

Warmia ciągnie zawsze do Rzymu przez Biskupów polskich. Naród Polski patrzy ku Rzymowi, ku łacińskiej kulturze zachodniej, oczyma Kościoła. Moc narodu, jego wytrzymałość w wiekowej walce z błędami tłumaczy się tym, że Polska jest ochrzczona w obrządku łacińskim, że jest przez Kościół Rzymski związana z kulturą zachodnią i bierze w niej czynny udział. Umieliśmy zawsze odróżnić ziarno od plew: i dlatego nie poddaliśmy się nigdy żadnym herezjom. Ewangelię Chrystusową dochowaliśmy wierności dotąd i zawsze dochowamy na progu Tysiąclecia Chrześcijaństwa Narodu.

Wiemy, że niełatwa jest droga Wierności Bogu. I dlatego, w tym pierwszym szczególnie roku Wielkiej Nowenny przygotowawczej do Tysiąclecia Chrześcijaństwa, za program wyjątkowej pracy przyjęliśmy sobie walkę „o dochowanie wierności Bogu, Krzyżowi i Ewangeli, Kościołowi świętemu i jego Pasterzom, Ojczyźnie naszej świętej Chrześcijańskiej Przedniej Straży“.

Niejedną pokusę wypadnie w sobie pokonać, nieraz podźwignąć się z opieszałości, z bezwoli, ze zniechęcenia i zwątpienia; nieraz wypadnie zapomnieć o sobie dla wspólnego dobra Katolickiej Ojczyzny.

A zwłaszcza trzeba będzie czuwać nad tym, aby najświętsze prawa dzieci i młodzieży naszej do Boga-Ojca, do wychowania religijnego, do wolności sumienia były uszanowane. Rodzice katolicy czuwać będą nad tym, pod ciężką odpowiedzialnością w sumieniu, by w tych szkołach, w których uczą się ich dzieci, nauka religii znalazła należne sobie miejsce. Przecież ich opieszałość może ukrzywdzić nie tylko ich własne dzieci, ale też i dzieci innych rodziców katolickich. Niech pamiętają na testament Wielkiego Rodaka naszego, Biskupa Warmińskiego, wypisany na kamieniu pomnika Zatybrzańskiegogo. Jednoczył on ziemię ojczystą przez jedność w wierze katolickiej.

*

Na zakończenie pragnęlibyśmy, Najmilsi Rodacy, podzielić się z Wami jeszcze jednym miłym wrażeniem. Dokądkolwiek skierowaliśmy kroki nasze, wszędzie spotykaliśmy się z wielką życzliwością narodów bratnich, katolickich. Od bram stolicy katolickiej Austrii, która nigdy nie przestała być wdzięczną Polsce za odsiecz wiedeńską, poprzez Tarvisio do dalekich Syrakuz, na Sycylii, gdzie składaliśmy hołd Matce Bożej Pła-

czącej, nie wyłączając nawet rozległej nawy Bazyliki Piotrowej na Watykanie, imię Polski było wykrzykiwane tak często i z takim zachwytem. Zapewne, jest to owoc tej wspólnoty religijnej, która wiąże różne narody w Kościele. Zapewne, jest to też owoc tej krwi żołnierzy polskich, która wołała do nas z tyłu cmentarzy, które w drodze odwiedzaliśmy na wioskiej ziemi. Żywa sympatia ludu włoskiego, tak gorąca jak krater Etny, świadczy o tym, że ludzkość cała staje się bliską sobie w ramionach wspólnej Matki Kościoła. Prawdziwie „jeśli cierpi jeden członek, wszystkie członki z nim cierpią, a jeśli jeden członek czci doznaje, wszystkie członki się z nim radują“ (I Kor. 12, 26). Szczególnie popularna stała się Polska w całym świecie, na ustach wszystkich z powodu niezłomnej wiary ludu polskiego, w czasie prześladowań Kościoła w latach minionych. Usta milionów powtarzały wtedy modlitwę do Ojca Narodów za Polskę w tylu różnych językach. A dziś radują się z tego, że Bóg pozwolił nam odetchnąć nieco. Ileż to razy byliśmy zatrzymywani z radością przez przygodnie spotkanych turystów, wędrowców, by usłyszeć słowa radości z uwolnienia, słowa nadziei na lepszą przyszłość. Raz jeszcze okazuje się być prawdą, że Kościół przymnaża chwały Polsce nawet wtedy, gdy sam cierpi.

LIST PASTERSKI ARCYBISKUPA POZNANIA

Prześwietna Kapituło, najmilsi Bracia Kapłani i Ty, poznański Ludu Boży!

Dzisiaj, w uroczystość Nawiedzenia Matki Boskiej, objąłem rządy w Archidiecezji Poznańskiej. Powierając mi je Ojciec św. w czasie mojego ostatniego pobytu w Wiecznym Mieście, dokąd towarzyszyłem Ks. Kardynałowi Prymasowi, udzielił mi i Wam swojego apostołowskiego błogosławieństwa, byśmy razem budowali Królestwo Boże w duszach naszych.

Po zgonie nieodżałowanej pamięci Ks. Arcybiskupa Walentego Dymka, w czasie trwającego osiem miesięcy osierocenia Archidiecezji, zarządził nią Ks. Biskup Franciszek Jedwabski. Dziękując mu za związane z tym trudy i poświęcenia, zamianowałem go swoim Wikariuszem Generalnym i zleciłem mu równocześnie zastępstwo w rządach Archidiecezją do chwili mojego uroczystego ingresu arcybiskupiego, który pragnę odbyć dnia 6 października, w niedzielę poświęconą Matce Boskiej Różańcowej.

Z woli Boga i Zastępcy Jezusa Chrystusa, Ojca św., przychodzę do Was jako Wasz Arcypasterz. Nie jestem Wam obcy. Wyrostem przecież wśród Was na prastarej ziemi wielkopolskiej, w krainie głębokiej i budującej wiary. Wśród Was kształtowałem swoje serce i swój umysł. Gdy potem, już jako kapłan, stanąłem znowu w Wielkopolsce, pracowałem długie lata u boku wielkiego Prymasa, Ks. Kardynała Hłonda. Wtedy miałem sposobność stykać się z Wami czy to w prastarym Grodzie Przemysławia, czy też w Waszych wsiach i miasteczkach. Patrzałem na Wasze umiłowanie wiary św., na przywiązanie do Kościoła św. i jego Pasterzy, na Waszą sumienną i przykłądną pracę, na Waszą budującą obowiązkowość, na Wasze znoje i troski, radości i smutki, na Wasz codzienny trud szary, ale błogosławiony w owoce.

Potem przyszły lata wojny a z nią tułaczka po obcych ziemiach. Myślał jednak i sercem byłem zawsze z Wami. Krzepiła mnie Wasza stałość w wierze, mężne oddanie się Kościołowi i Ojczyźnie. Wasze ofiary i Wasze męczeństwo dawały mi pewność ostatecznego zwycięstwa Bożej sprawiedliwości.

Znam więc archidiecezję, do której przychodzę jako jej przez Boga naznaczony Pasterz. Znam wielu z Was, drodzy moi Kapłani. Znam i Ciebie, wielkopolski ludu. Przychodzę

Przedstawiciel Ojca św. w swoim przemówieniu podczas uroczystości wręczenia nam oznaki kardynalskiej w sali Domu św. Stanisława w Rzymie, powiedział: „**Polska należy do całego świata**“. Właśnie i dzięki Kościołowi świętemu! I dlatego chce ona pozostać w tej rodzinie, świadoma swych praw, swego miejsca i swego zadania dziejowego, które jest nam wyznaczone przez Ojca Narodów.

Żegnając Biskupów naszych wypowiedzianymi po polsku słowami „Pochwalonego“, Ojciec św. pozwolił nam udzielić jednorazowo Wiernemu Ludowi odpustu zupełnego pod zwykłymi warunkami. Przyjmijcie Najlepsze Dzieci Boże, Bracia i Siostry, nasze podziękowanie za gorącą modlitwę, jaką byliśmy wspierani w drodze naszej, do Stolicy Chrześcijaństwa, aby ujrzeć Piotra w Piusie. Pochylicie Wasze głowy, otwórzcie swe serca, będziemy Wam błogosławili.

† STEFAN KARDYNAŁ
WYSZYŃSKI
PRYMAS POLSKI

Warszawa, dnia 19 czerwca 1957 r.

do swoich. Wasz jestem a Wy moi. Oddaję Wam całkowicie swoje siły i zdolności. Przychodzę z wiarą i ufnością. Ale i Waszej wiary i oddania się jestem pewny.

Ciężar urzędu, jaki Ojciec św. złożył na moje barki, jest wielki i wielkich wymaga sił. A siły moje stargały się bardzo wśród cierpień, których doznałem w ostatnich latach. Wszystkiemu jednak ufam podobać „w Tym“, który mnie umacnia“. Dlatego proszę Was: wesprzyjcie mnie swoimi modlitwami.

Módlcie się za mną do Pana naszego, Jezusa Chrystusa, do Matki Jego i naszej, do Jasnogórskiej Pani, Wspomożycielki Wiernych, by starczyło mi sił i zdrowia; bym przez wszystkie dni życia mojego mógł Wam służyć jako Biskup i Pasterz dusz Waszych. Módlcie się, moi Bracia Kapłani, bym był Biskupem „w świętości i sprawiedliwości, w prawdzie i miłości“. Módlcie się i Wy, powierzeni mej pieczy Bracia i Siostry w Chrystusie, bym dźwigając łaskę pasterską, uświęconą pracą i cierpieniem moich wielkich i świetlanych Poprzedników na Biskupiej Stolicy w Poznaniu, prowadził Was pewnie i bezpiecznie na drodze naszego ziemskiego bojuwania.

Módl się i Ty, Młodzieży, bym i ciebie jasno i śmiało wiódł po szlakach, którymi Wasi Ojcowie w mijającym tysiącleciu szli za przewodem Maryi. Chciałbym, byśmy razem w godny sposób przysposobili się na bliskie już nasze Millennium, tysiąclecie chrztu Polski. Ks. Kardynał Prymas, którego coraz częściej nazywają Prymasem Maryjnym, zapowiedział już uroczysty jego obchód. Poznań, któremu przypadło w udziale otworzyć pochod chrześcijaństwa w Naszej Ojczyźnie, ma do odegrania dużą rolę także teraz, gdy trzeba nam siebie i Naród przygotować na jubileuszowe uroczystości. Poznań musi bowiem godnie i należycie uczcić wielką dziejową chwilę.

Na tę pracę cichą i ofiarną, ale bogatą w święte skutki, z całego serca udzielam Wam wszystkim swojego arcybiskupiego i ojcowskiego błogosławieństwa.

Błogosławię Was w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Poznań, dnia 2 lipca 1957 r.

(—) † Antoni Baraniak
Arcybiskup Poznański

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ POWSTANIA W POZNANIU*)

Najmilszy w Chrystusie Rodacy, którzy słuchacie transmisji polskiego nabożeństwa z Londynu, oraz Ukochani Parafianie!

Nawet wśród nocy niepowodzeń — bliski jest Bóg, który w pewnym momencie nadał skuteczność wysiłkom ludzkim, opartym na bezgranicznym zaufaniu i posłuszeństwie dla Niego.

Gdy Jezus zwrócił się do swych uczniów i rzekł do Szymona Piotra: „Wyjdziesz na głębię i zapuścisz sieci wasze na połów, wydało im się, jako doświadczonym rybakom, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, będzie to tylko jeszcze jeden próżny wysiłek z ich strony. Bo przecież: „Nauczycielu, całą noc pracując, nicemy nie ułowili” — odpowiada Szymon. I gdyby w odpowiedzi swojej poprzestał na tym, gdyby zniechęcony całonocnym trudem i niepowodzeniem nie okazał Jezusowi należnego zaufania i posłuszeństwa — to z pewnością nie doznałby wspaniałego cudu i nie stał się z woli Chrystusa pierwszym łowcą dusz ludzkich. Lecz Szymon Piotr nie upełniał się przy swoim zdaniu i doświadczeniu. Wbrew rachubom ludzkim, na słowo Chrystusa zarzucił sieci i dokonał jakże wspaniałego połowu.

Wszyscy uczniowie Chrystusa mieli zrozumieć, że żadna mądrość tego świata, ani doświadczenie, ani wszystkie razem wzięte środki ludzkie nie są w stanie zastąpić Opatrzności Bożej i łaski. Konieczna jest współpraca z Bogiem. Jedyne Bóg prowadzi nieomylnie swoje stworzenia do prawdziwego dobra. On sam bowiem jest Dobrem najwyższym, lecz jakże często niedocenianym i odrzucanym. Tacy są już ludzie, że blask powodzenia zaslepił ich. Zdają się Boga nie dostrzegać, a istnienie Jego uważają wprost za przeszkodę w swym grzesznym życiu. Dopiero poprzez ruiny ziemskich złudzeń najczęściej następuje zbliżenie do Boga i zrozumienie spraw duszy nieśmiertelnej. W niepowodzeniach bowiem człowiek wyraźniej słyszy głos Chrystusa: „Wyjdziesz na głębię”, czyli z płytkich zwodniczych mniemań ludzkich wyjdziesz na głębię prawdy Bożej i łaski, na głębię skutecznego współdziałania z Bogiem. Płytkość materializmu wiara przedstawia głębię prawdy Bożej, bezbożnemu działaniu komunizmu, który pozbawia wolności i chleba — przeciwstawia żywe współdziałanie z Bogiem jako Prawdę, która wyzwala z wszelkiej niewoli, jako Sprawiedliwość i Miłosierdzie, które karmią chlebem życia, a nie śmierci.

Dzisiaj zgromadziliśmy się w tej wielkiej świątyni w Londynie, by w związku z przypadającą w ubiegłym tygodniu pierwszą rocznicą powstania w Poznaniu, spełnić serdeczny obowiązek modlitwy za tych bohaterów, wiernych Bogu i Ojczyźnie współbraci naszych, którzy donośnym głosem domagając się: „chleba i wolności” — polegli na ulicach Poznania. Nie znamy dokładnie ich liczby, lecz znamy wielkość ich odwagi i charakteru, wielkość poświęcenia, któremu hold składamy. Polska młodzież i robotnicy polscy, w pamiętny dzień czerwcowy w spontanicznym pochodzie, zdobyli się na rozpaczliwy protest w imieniu bezbronne-

*) Kazanie radiowe na czwartą niedzielę po Zielonych Świątkach. Brompton Oratory, 7 lipca 1957. Radio Free Europe.

go narodu polskiego przeciwko uciskowi i zakłamanemu komunizmowi. Okazali przebieg świętego gniewu na widok panoszącego się bezkarnie komunizmu, który doprowadza naród do głodu i nędzy.

W czasie wojny uzbrojony żołnierz polski walczył na wszystkich polach bitew o prawo do życia narodu polskiego, o chleb i wolność. dziś o to samo walczy cały nasz naród. Choć bezbronny materialnie, uzbrojony jest potężną i niezwykłą bronią duszy polskiej, którą jest nasza święta wiara katolicka. I tą mocą duszy, którą czerpie z wiary w Kościele katolickim, przewycięża stopniowo narzuconą, bezduszną rzeczywistość komunistyczną. I ma wszelkie dane, by zatrzymać bez rozlewu krwi.

Katolicki naród polski w swej podziwu godnej postawie, opiera się nie na jakichś mglistych rachubach ludzkich, lecz na najgłębszym przeświadczeniu wiary, że na słowo Boże, zapuszczając sieci na głębię życia, dokona wielkich przemian w duszach i sercach ludzkich, w których rodzi się wolność. Nawet komuniści, którzy zawsze są w konflikcie z prawem, zrozumieją choć częściowo wymowę wypadków poznańskich, że ta iskra, która tam zapłonęła i choć trochę rozjaśniła ciemną rzeczywistość polską nie pochodziła bynajmniej z zewnątrz, lecz z głębi dusz i serc polskich. I że Polska, to

nie Rosja sowiecka. Głos robotników poznańskich: „chleba i wolności” był pierwszym za żelazną kurtyną tragicznym wyrazem prawdy, potwierdzonej ofiarną krwią polską, że pod panowaniem komunizmu nie ma chleba i wolności. Cały świat usłyszał i zrozumiał ten głos. „Chleba i wolności” — to są historyczne i testamentalne słowa poległych, za których dziś najgoręcej się modlimy we Mszy świętej, prosząc Matkę Najświętszą, Polskę Królową: duchem „wolnego ludu krew, zanieś przed Boga tron, Bogarodzico” i spraw jako Matka, aby spragnieni chleba, wolności i sprawiedliwości — zostali nasyćeni i z ciemności wyprowadzeni do światła.

„Chleba i wolności” wołał w modlitwie cały naród w Roku Maryjnym, a szczególnie na Jasnej Górze, u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie zebrało się ponad półtora miliona pielgrzymów w sierpniu. Wkrótce przyszedł październik, który niewątpliwie przyniósł bez rozlewu krwi pewną ulgę narodowi, przyniósł uwolnienie naszego Czcigodnego Księdza Prymasa, przyniósł trochę wolności i trochę chleba, ale wiemy jak to dalekie jest od zaspokojenia głodu chleba i wolności narodu polskiego. „Chleba i wolności” wciąż brakuje naszym rodakom w Kraju. Dlatego religijnym i narodowym obowiązkiem naszym jest podzielić się z nimi chlebem, okazać im jak największą pomoc duchową i materialną, aby wytrwali i doczekali tej zbliżającej się chwili, w której Bóg Wszechmocny i Miłosierny przemieni naszą noc niepowodzeń w jasny i błogosławiony dzień szczęśliwego połowu u pragnionej wolności. Amen.

PROBLEMY ZIEM ODZYSKANYCH

Na dobro po-październikowej polityki Gomułki trzeba zapisać zmianę kursu w stosunku do ziem zachodnich i północnych, tj. Ziemi Odzyskanych, na które kieruje się obecnie większość repatriantów z Rosji. Powołano rządową komisję dla spraw ziem zachodnich oraz nadzwyczajną sejmową komisję ziem zachodnich, a niezależnie od tego powstało również towarzystwo rozwoju ziem zachodnich.

Dowodem tego nowego kursu są także liczne artykuły w prasie krajowej, które starają się wykazać zaniedbania poprzedniego okresu. Wśród piszących o tym zagadnieniu są tacy, którzy — jak można wnioskować — poświęcili temu problemowi wiele pracy, w szczególności jeśli chodzi o traktowanie na tych ziemiach ludności autochtonicznej. Są również i próby przedstawienia struktury gospodarczej tych ziem, zaniedbań w dziedzinie rolnictwa i przemysłu i sugestie, jak „błędy przeszłości” należałoby naprawić.

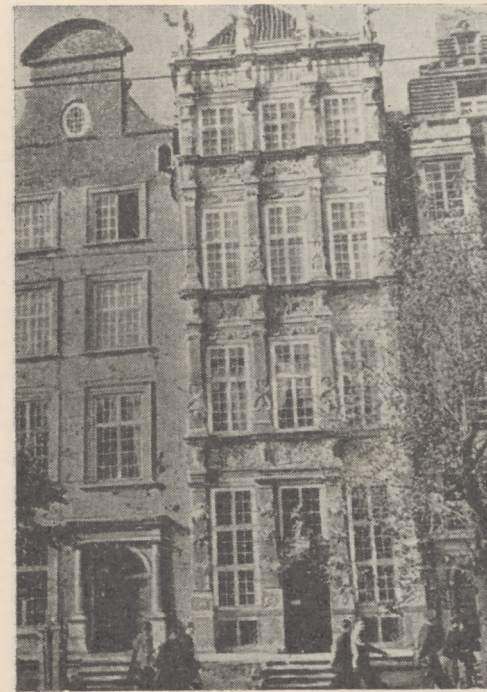
Pominąwszy to, że o tych „grzechach przeszłości” mówi się zbyt delikatnie, zaś o dokonaniach pozytywnych za wiele — w stosunku do tego co mogło i powinno być zrobione, to jednak trzeba stwierdzić, że sprawą zaczęto się nareszcie zajmować.

Ostatnio na łamach „Polityki” z 25 czerwca zabrał głos Leopold Gluck, który na wstępie podkreśla, że w przeszłości zacieśniono tę problematykę głównie do wąskiego kręgu spraw ekonomicznych, które bynajmniej nie wyczerpują zagadnienia. Autor stawia pytanie, czy dokonano się w ubiegłym okresie integracja ziem zachodnich i czy proces unifikacji i zjednoczenia tych ziem tak się posunął naprzód, że można mówić o jedności całego naszego Kraju. Odpowiada-

jąc stwierdza, że zapomniano często o konieczności uwzględniania specyficznych warunków i potrzeb ziem zachodnich i północnych, a ten schematyzm polityki państwa przyniósł wielkie szkody i zaciążył w sposób niekorzystny na dalszym rozwoju ziem zachodnich.

Kształtowanie się więzi społecznej. Na Ziemiach Odzyskanych — pisze Gluck — dokonała się po roku 1945 nie spotykana w dziejach rewolucja demograficzna, o czym mówią najwyraźniej cyfry. Odpłynęło z tych ziem około 7 milionów ludności niemieckiej, a jej miejsce zajęło 5,5 — 6 milionów Polaków, częściowo zza Buga, a częściowo z centralnych województw polskich, resztę stanowili reemigranci przybyli z Francji, Belgii, Jugosławii i innych krajów europejskich. Autor przypomina jednak z całym naciskiem, że najważniejszą rolę na tych ziemiach odegrali autochtoni, tj. Polacy, którzy przetrwali przez wieki cały napór niemieczyzny, zachowując w najcięższych warunkach germanizacyjnych swą polskość — to ludność rodzima na Warmii i Mazurach, na Opolszczyźnie, Ziemi Złotowskiej i Bytowskiej. W minionym okresie — mówi Gluck — ludność tę spotkało wiele krzywd i niesprawiedliwości. Są to rzeczy, których nie wolno tać i których nie należy przemilczać.

Jakie to były krzywdy? Gluck przytacza niektóre z nich. Mówi o dekretach o osadnictwie rolniczym i nierolniczym oraz o uwłaszczeniu, czyli o niewydawaniu ludności tytułów własności ziemi. Część chłopów nie uzyskała w ogóle aktu nadania, innym po-prawdnie wydane akty cofnięto. Zaufanie do instytucji hipoteki zostało poderwane. Przy-



Stara kamienica w Gdańsku

pomocy nacisku administracyjnego przekształcono spółdzielnie osadniczo-parcelacyjne w spółdzielnie produkcyjne, tj. kolchozy, zaś chłopów, którzy się przesiedlili na zachód z przeludnionych województw centralnych, z perspektywą prowadzenia własnego gospodarstwa, wpędzono do kolchozów. Likwidowano też, bez względu na skutki, jakie to później pociągnie dla miejscowej ludności, wszelkie indywidualne warsztaty rzemieślnicze.

Ta polityka — twierdzi autor — ułatwiła w pewnym sensie zachodnio-niemiecką propagandę rewizjonistyczną.

Tu trzeba przypomnieć o krzywdach, o których autor z takich czy innych względów nie wspominał. W roku 1945 ludność polska na Warmii, Mazurach i Opolszczyźnie przeżyła — po raz drugi z rzędu wielką tragedię. Pierwsza była w okresie po plebiscycie, zarządzonym na tych ziemiach po pierwszej wojnie światowej przez Radę Ambasadorów. Na terenie Opolszczyzny były powiaty, w których ludność wypowiedziała się w większości za przynależnością do Polski. Ostateczna decyzja Rady Ambasadorów, przecinająca Śląsk na dwie części, pozostawiła kilka takich powiatów w Niemczech. Ludność polska — głównie rolnicza, pozostała wbrew swej woli w kraju, który chciała opuścić, by po sześciu wiekach złączyć się z Macierzą. Przez blisko 20 dalszych lat wystawiona była na szkany ze strony władz pruskich. Druga wojna obudziła w niej nadzieje połączenia się z Polską.

Gdy nadszedł jednak rok 1945, przez Warmię, Mazury i Śląsk przewalili się dwie armie: cofających się Niemców, których ogarnął istny szal niszczycielstwa oraz wojsk sowieckich, wkraczających w roli zwycięzców na teren niemiecki. Ludność tych ziem przeżyła wtedy swą drugą, nie dającą się opisać, tragedię.

Polskich autochtonów uważano za Niemców. Przeżycia te znane nam są częściowo z prasy polskiej na Zachodzie. Dotarły one do nas bardzo późno, bo dopiero wtedy, gdy zaczęli na Zachód przybywać uciekinierzy. W pierwszej fazie okupacji tych ziem tysiące Polaków wywieziono na Wschód, tysiące Polaków zaciągniętych do armii niemiec-

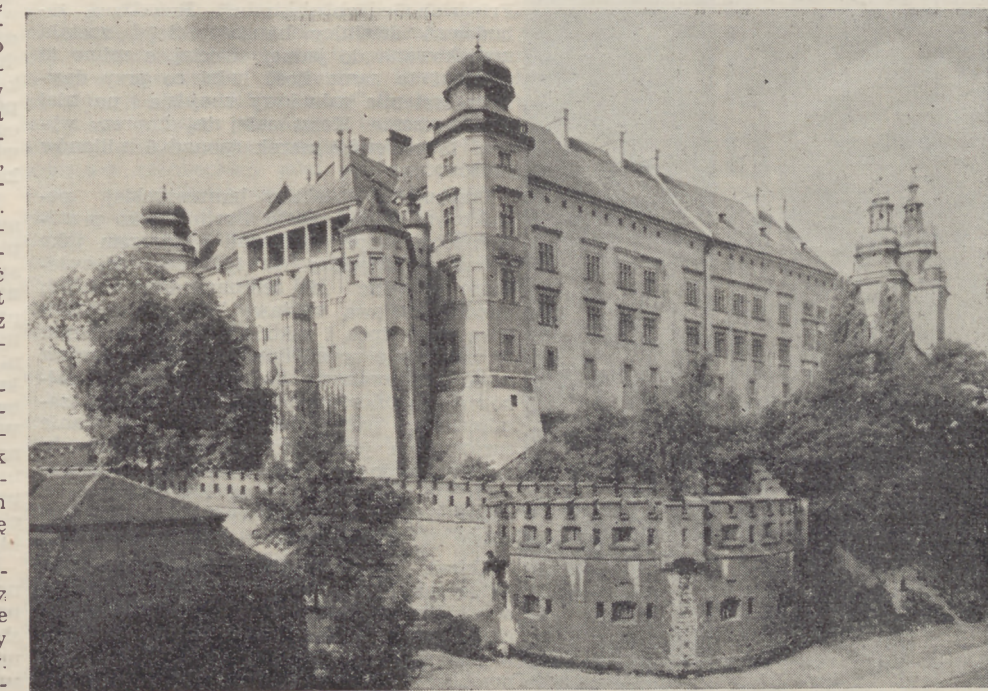
kiej i wziętych do niewoli sowieckiej nie ujrzało już nigdy swych rodzin.

W następnym okresie rozpoczęły swoją działalność polskie władze komunistyczne nie szczedząc me. od U. B. polskiej ludności Warmii, Mazur i Opolszczyzny. Zakwalifikowano tych ludzi jako Niemców i traktowano ich na równi z pozostałą ludnością niemiecką. Uznano natomiast za Polaków b. członków niemieckiej partii komunistycznej, a typowym przykładem był tu późniejszy pierwszy sekretarz PZPR w Opolu, który zaawansował nawet na przewodniczącego głównej komisji kontroli partyjnej przy centralnych komitecie.

O nastawieniu reżymu wobec Polaków warmińskich świadczy zaarrestowanie ks. Zinka, b. wikariusza kapitulnego w Olsztynie.

A w tym samym czasie młodzieży szkolnej mówiono co innego. W podręczniku szkolnym „Geografia polska” dla klasy VI (Maria Czekanska — 1951) czytamy, że „ludność nazurska, mimo że przez kilka wieków była pod panowaniem i uciskiem niemieckim, nie zatraciła jednak swego ojczystego języka, silnie rozwinięty ruch polski w Prusach Wschodnich ogniskował się w Olsztynie, stolicy Warmii. Warmią nazywamy kraj między rzekami Pasłęką i Lyną, zamieszkały przez rdzenną ludność polską, która twarde stała na straży swoich praw narodowych i wobec pruskich zaborców. Nieugięty był i chłop polski i inteligent, który wyszedł spod warmińskich polskich strzech”.

Skutki polityki dyskryminacyjnej. Polityka gwałtu wobec autochtonów doprowadziła do tego, że wielu Polaków z ziem zachodnich i północnych postanowiło opuścić kraj i wyemigrować do Niemiec wschodnich, skąd spodziewali się przedostać dalej na Zachód. Przyłączali się do grup niemieckich opuszczających Polskę, zniechęceni raz na zawsze do kraju, za którym głosowali w plebiscycie i do którego pragnęli się dostać po przegranej przez Niemców wojnie. Prasa krajowa przyznała otwarcie, że w rozmowie z tymi nieszczęśliwymi dawało się słyszeć często takie powiedzenie: „Niemcy przesładowali nas jako Polaków — teraz Polacy przesładowują nas jako Niemców”.



Zamek wawelski

Opuszczali więc kraj polscy autochtoni z Warmii, Mazur i Opolszczyzny, którzy od wieków, jak dęby, wrosli korzeniami w polską ziemię. Kraj poniósł niepowetowane straty, opuścił go chłop, który przez wieki całe uprawiał ziemię ojców, mimo przesładowania ze strony Niemców.

A osiągnięcia w dziedzinie przemysłowej? Powracając do artykułu Glucka w „Polityce” należy powtórzyć za nim i wyliczenie osiągnięć w dziedzinie przemysłowej. Autor jest tu o tyle szczerzy, że istniejących już dawniej zakładów przemysłowych, np. kopalni na Śląsku Opolskim i w Zagłębiu Wąbrzyskim nie zalicza do zakładów nowozbudowanych — przytacza jednak szereg zakładów nowych, jak m. in. hutę miedzi w rejonie Bolesławca, kopalnię węgla brunatnego w Sieniawie oraz fabrykę włókien sztucznych w Jeleniej Górze, zaznacza jednak, że zaniedbano wykorzystanie istniejących możliwości uruchomienia nieczynnych, zwłaszcza średnich i mniejszych zakładów pracy. Ma tu na pewno na myśli wielką ilość małych warsztatów tkackich w miasteczkach województwa zielonogórskiego, które upadły w okresie systematycznej likwidacji przemysłu i rzemiosła prywatnego. Obecnie, w związku z napiwem repatriantów z Rosji sowieckiej i przy zwiększającym się bezrobociu, zamierza się uruchomić je na nowo. Nie należy jednak zapominać, że do uruchomienia zamkniętych już prawie od 7 lat warsztatów nie wystarczy sam materiał ludzki, że potrzeba maszyn, pomieszczeń, surowca, a wreszcie wykszolenia tych, którzy nigdy nie pracowali na krosnach. Znane nam warunki pracy w jeleniogórskiej Celwiskozie i innych zakładach na tych ziemiach nie mogą usposabiać optymistycznie co do rozwoju tych spraw.

Jednakże samego faktu, że po-październikowe czynniki postanowiły wreszcie poświęcić więcej uwagi zagadnieniom ziem zachodnich, trudno jest nie witać z weschnieniem ugi. Każdy nowy zakład czy warsztat pracy może przyczynić się do rozwiązania problemu zatrudnienia i dać pracę repatriantom z Rosji, którzy po 17 latach wygnania wracają do Polski.

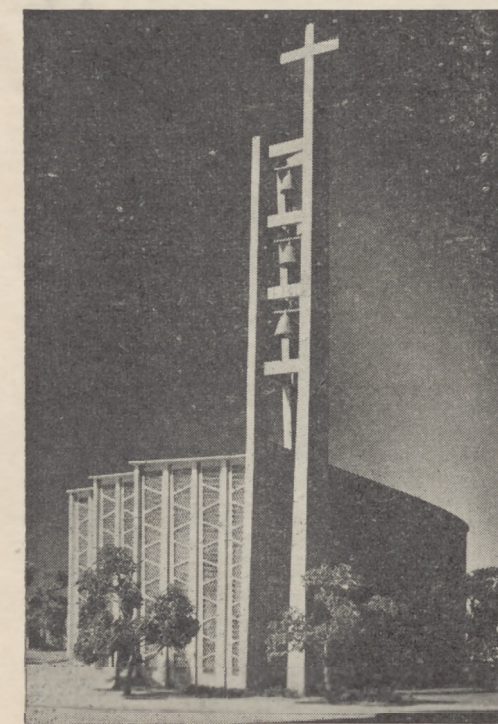
A. Z.

EKSPERYMENTALNA WYSTAWA BUDOWLANA W BERLINIE

(Korespondencja własna z Berlina)
Berlin należał — poza Warszawą — do najbardziej zniszczonych miast w czasie wojny. Odbudowa miasta porobiła w ciągu minionego dziesięciolecia zadzwajające postępy, ale mimo to ilość ruin i pustych przestrzeni jest nadal ogromna. Należącej rozmiary zniszczeń i odbudowy ocenić można, spoglądając na miasto z lotu ptaka. Za fasadą nowych ulic i czystych dzielnic, pobudowanych na zachodzie i wschodzie miasta, uderza nadal ogrom zniszczeń.

Cechą charakterystyczną odbudowy miasta, poprzez które przebiega linia podziału nr wschód i zachód, jest fakt, że wzdłuż granicy, po obu stronach, nie buduje się prawie że zupełnie. Centrum dawnej stolicy Niemiec, skrzyżowanie ulicy Fryderykowskiej i Pol Lipami, jest nadal w ruinach. To ongiś znane w całej Europie ześrodkowanie berlińskiego życia handlowego i rozrywkowego, ze wspaniałymi magazynami, luksusowymi hotelami i restauracjami, świeci dziś pustką i przypomina głuchą prowincję kresową. Świetny blask „Adlonu”, „Bristolu” czy „Café Kranzler” — zgasł bezpowrotnie.

Okazuje się, że nawet i totalne zniszczenia mogą mieć swoje dodatnie wyniki. W rezultacie zombardowania i następnie przeprowadzonej polityce demontażu przemysłu niemieckiego, obecne zachodnio-niemieckie kopalnie, huty i fabryki posiadają najnowocześniejsze wyposażenie techniczne, dzięki czemu wydajniej pracują, aniżeli np. niezniszczone fabryki angielskie. Po totalnym zniszczeniu miasta — na miejscu dawnych ciasnych ulic i przeludnionych, dusznych kamienic z niezdrówymi, pozabawionymi słońca i powietrza oficynami, po-



Kościół katolicki św. Ansgara

wstają szerokie bulwary i nowoczesne, pełne słońca, otoczone zielenią, higieniczne domy mieszkalne. Zamiast skoszarowanych dzielnic, wyrastają dzielnice-ogrody.

Klasyczny przykład takich właśnie przeobrażeń stanowi odbudowa dzielnicy „Hansaviertel” na północno-zachodnim krańcu zachodnio-berlińskiego „Tiergarten”, spełniającego w tym czteromilionowym mieście podobną rolę co londyński Hyde Park.

Dzielnica hanzeatycka Berlina powstała w latach 1875-1890, w okresie gwałtownego wzrostu przemysłu i miast niemieckich. Wzdłuż wąskich ulic budowano wówczas pięcio- i sześciopiętrowe kamienice z oficynami, pozbawionymi w dolnych kondygnacjach nieomal całkowicie słońca i światła. W blokach obejmujących około stu metrów kwadratowych mieszkało po 1.500 i więcej ludzi. Dzielnica ta została w czasie wojny prawie że doszczętnie zniszczona. Zamiast naprawiać i odbudowywać nieliczne domy utrzymane, senat miasta Berlina zdecydował się na zasadniczą przebudowę tego квартier i włączyć go w przestrzeń zieleni sąsiedniego Tiergartenu. Przestrzeń zabudowaną dotychczas przylegającymi do siebie koszarowymi kamienicami zamieniono w ogromny zieleńiec, na peryferiach którego pobudowano w długich od siebie odstępach sześć 16 do 17 piętrowych, cztery 8 do 10 piętrowe drapacze nieba i pięć 4 do 5 piętrowych kamienic. Pozostałe wolne przestrzenie, połączone z Tiergartensem, zabudowane zostały domami dwu- lub trzy piętrowymi, oraz 27 parterowymi domkami jednorodinnymi, przeplatany niskimi budowlami mieszczącymi szkoły, serie sklepów, kino, restauracje, kawiarnie, czytelnie itp. Krańce tego miasta-parku zdobią dwa w nowoczesnym stylu pobudowane kościoły, katolicki św. Ansgara i ewangelicki „Kaiser-Friedrich-Gedächtniskirche”. Przestrzeń zabudowaną dzielnicy hanzeatyckiej została zredukowana do jednej trzeciej, a mimo to nieomal ta sama ilość ludzi co przy dawnym systemie zabudowy znajduje na niej pomieszczenie. Koszt całej tej imprezy wynosi 75 milionów marek (ponad 6 milionów funtów).

Przebudowę dzielnicy hanzeatyckiej potraktował senat miasta Berlina jako przedsięwzięcie eksperymentalne a zarazem jako pokaz dydaktyczny. W tym celu zdecydowano urządzić na terenach budowlanych międzynarodową wystawę budowlaną, która trwa od 6 lipca i zakończy się 30 września. W momencie uruchomienia wystawy trzecia część planowanych budowli była już całkowicie ukończona (częściowo nawet i zamieszkała), jedna trzecia gotowa w stanie surowym, a jedną trzecią w początkowym stadium budowy. Prace budowlane w obiektach nie wykonanych są kontynuowane w czasie wystawy tak, że wystawa „rośnie” w czasie jej zwiedzania.

Celem użytkowania najnowszych doświadczeń i pomysłów nadano wystawie charakter międzynarodowy, zapraszając architektów z całego świata do współdziałania w planowaniu i budowie. Ogółem planowało przebudowę dzielnicy hanzeatyckiej 53 architektów budowlanych i 10 ogrodowych. Wśród nich partycypowało 19 architektów

wstają szerokie bulwary i nowoczesne, pełne słońca, otoczone zielenią, higieniczne domy mieszkalne. Zamiast skoszarowanych dzielnic, wyrastają dzielnice-ogrody. Klasyczny przykład takich właśnie przeobrażeń stanowi odbudowa dzielnicy „Hansaviertel” na północno-zachodnim krańcu zachodnio-berlińskiego „Tiergarten”, spełniającego w tym czteromilionowym mieście podobną rolę co londyński Hyde Park. Dzielnica hanzeatycka Berlina powstała w latach 1875-1890, w okresie gwałtownego wzrostu przemysłu i miast niemieckich. Wzdłuż wąskich ulic budowano wówczas pięcio- i sześciopiętrowe kamienice z oficynami, pozbawionymi w dolnych kondygnacjach nieomal całkowicie słońca i światła. W blokach obejmujących około stu metrów kwadratowych mieszkało po 1.500 i więcej ludzi. Dzielnica ta została w czasie wojny prawie że doszczętnie zniszczona. Zamiast naprawiać i odbudowywać nieliczne domy utrzymane, senat miasta Berlina zdecydował się na zasadniczą przebudowę tego квартier i włączyć go w przestrzeń zieleni sąsiedniego Tiergartenu. Przestrzeń zabudowaną dotychczas przylegającymi do siebie koszarowymi kamienicami zamieniono w ogromny zieleńiec, na peryferiach którego pobudowano w długich od siebie odstępach sześć 16 do 17 piętrowych, cztery 8 do 10 piętrowe drapacze nieba i pięć 4 do 5 piętrowych kamienic. Pozostałe wolne przestrzenie, połączone z Tiergartensem, zabudowane zostały domami dwu- lub trzy piętrowymi, oraz 27 parterowymi domkami jednorodinnymi, przeplatany niskimi budowlami mieszczącymi szkoły, serie sklepów, kino, restauracje, kawiarnie, czytelnie itp. Krańce tego miasta-parku zdobią dwa w nowoczesnym stylu pobudowane kościoły, katolicki św. Ansgara i ewangelicki „Kaiser-Friedrich-Gedächtniskirche”. Przestrzeń zabudowaną dzielnicy hanzeatyckiej została zredukowana do jednej trzeciej, a mimo to nieomal ta sama ilość ludzi co przy dawnym systemie zabudowy znajduje na niej pomieszczenie. Koszt całej tej imprezy wynosi 75 milionów marek (ponad 6 milionów funtów). Przebudowę dzielnicy hanzeatyckiej potraktował senat miasta Berlina jako przedsięwzięcie eksperymentalne a zarazem jako pokaz dydaktyczny. W tym celu zdecydowano urządzić na terenach budowlanych międzynarodową wystawę budowlaną, która trwa od 6 lipca i zakończy się 30 września. W momencie uruchomienia wystawy trzecia część planowanych budowli była już całkowicie ukończona (częściowo nawet i zamieszkała), jedna trzecia gotowa w stanie surowym, a jedną trzecią w początkowym stadium budowy. Prace budowlane w obiektach nie wykonanych są kontynuowane w czasie wystawy tak, że wystawa „rośnie” w czasie jej zwiedzania. Celem użytkowania najnowszych doświadczeń i pomysłów nadano wystawie charakter międzynarodowy, zapraszając architektów z całego świata do współdziałania w planowaniu i budowie. Ogółem planowało przebudowę dzielnicy hanzeatyckiej 53 architektów budowlanych i 10 ogrodowych. Wśród nich partycypowało 19 architektów



Ośmiopiętrowy gmach fińskiego architekta Alvara Aalto

z zagranicznych, niektórzy o sławie międzynarodowej np. W. Gropius ze Stanów Zjednoczonych, Le Corbusier i P. Vago z Paryża, J. H. von der Broeck — Holender, K. Fischer — Duńczyk, O. Senn — Szwajcar, F. R. S. Yorke z Londynu, L. Baldessari — Włoch, A. Aalto z Helsinek i inni.

Projekty poszczególnych architektów uzgadniał specjalny komitet z prof. O. Bartniewiczem z Darmstadtu, prezydentem Związku Architektów Niemieckich, na czele. Zadania komitetu uzgadniającego nie były łatwe. Każdy z architektów wnosił inne, nieraz dość egzotyczne pomysły, które należało sprowadzić do wspólnego mianownika i doposażać do ogólnej linii architektonicznej, realizowanej w tej części Berlina. Mimo to cała dzielnica robi wrażenie harmonijnej. Kilka drapaczy pobudowano na filarach o wysokości kulku metrów, i przechodzą widzi poprzez filary zieloną przestrzeń sąsiadującego Tiergartenu, co robi wrażenie jakoby miasto pobudowane zostało w samym parku. Poszczególni architekci starali się oczywiście o maksimum pomysłowości i nowoczesności w planowaniu domów i mieszkań.

Niemieccy architekci Mueller-Rehm i Siegmann z Berlina pobudowali na przykład 17-piętrowy drapacz, który posiada wyłącznie apartamenty jednopokojowe dla samotnych. Mieści on 164 mieszkań. W gmachu paryskiego architekta Pierre Vago jest główny pokój mieszkalny położony o kilka stopni wyżej lub niżej od pozostałych części kilkupokojowego mieszkania, by tym sposobem zapewnić maksimum nasłonecznienia. W innym znów drapaczu mieszkania położone są na dwóch kondygnacjach, połączonych ozdobnymi schodami prowadzącymi z przedpokojem. Poprzez obie kondygnacje ciągnie się jeden balkon nadający mieszkaniu pozory samodzielnej willi.

Każdy z domów posiada swoje samodzielne własności. Domy jednorodzinne planowane są na wzór posiadłości starożytnych. Centralnym punktem w środku domu jest dziedziniec, dookoła którego uplanowane są poszczególne izby mieszkalne. W stylu wysoce nowoczesnym utrzymane są także oba kościoły, pobudowane według pla-

now dwóch znanych berlińskich architektów, Lemmera i Kreuera. Wystawa ściśle budowlana poszerzona została o wystawę wnętrz mieszkań ipokazy techniczne.

Wystawa berlińska stanowi niewątpliwie ciekawy wkład do problemu nowoczesnego budownictwa i planowania miast przyszłości. Czy modernizm ten okaże się praktyczny dla mieszkańców domów, dowiemy się w przyszłości. Berlińczycy pilnie zwiedzają wystawę, podziwiają poszczególne jej obiekty, nie szczędzą jednak krytycznych uwag, jeśli chodzi o możliwość zadowolenia się w gigantycznych drapaczach czy sielankowych „chatach” wielkomiejskich.

Planowanie odbudowy całej dzielnicy wymagało długiego czasu i ogromnej pracy. Trzeba było przede wszystkim rozwiązać skomplikowany problem własności tego obszaru obejmującego 177 tysięcy metrów kw. Składał się on ze 159 parcel, z których nieomal każda należała do innego właściciela. Nowa zabudowa wymagała częściowej komasacji poszczególnych parcel, względnie całkowitego innego rozplanowania. 22 tysiące metrów kwadratowych (złożone z 22 parcel) trzeba było nabyć dla poszerzenia starych i stworzenia nowych ulic, dla założenia zieleńców i parku, jak też dla budowy gmachów w publicznych, jak np. szkoła, czytelnia, kościoły itp. Celem przeprowadzenia tej transakcji utworzono specjalną spółkę akcyjną, która nabyła od dotychczasowych właścicieli poszczególne parcele. Spółkę z kapitałem 3 milionów marek utworzył senat Berlina, który akcje odstąpił dotychczasowym właścicielom lub zatrzymał je na razie we własnym portfelu, płacąc dotychczasowemu właścicielowi rynkową cenę za nabytą parcelę. Prawie wszyscy właściciele zgodzili się na taką transakcję, a jedynie w 14 wypadkach trzeba było zastosować przymusowy wykup. Miasto nie ma jednak zamiaru zatrzymać akcji tych we własnym posiadaniu i zamierza je odsprzedać indywidualnym nabywcom prywatnym po zakończeniu całej budowy.

Największe oczywiście zainteresowanie wzbudza wystawa w fachowych kręgach architektów i ekspertów budownictwa miejskiego. Codziennie zjeżdżają do Berlina setki gości zagranicznych. Biuro organizacyjne wystawy posiada m.in. zgłoszenia licznych wycieczek z Polski. Liczy się na przyjazd przeszło 300 polskich architektów, wzgl. studentów architektury z Polski.

St. Czechanowski

PINAKOTEKA MONACHIJSKA

Tak zwana stara Pinakoteka monachijska, która została niemal całkowicie zniszczona w czasie bombardowań lotniczych w latach 1943 i 1944, została odbudowana i ostatnio uroczystie otwarta. Przy odbudowie charakter architektoniczny gmachu uległ dosyć poważnym zmianom.

Stara Pinakoteka monachijska zbudowana została w latach 1826-1836 i dzięki zamówieniu artystycznym panującej w Bawarii dynastii Wittelsbachów zgromadziła w swych murach wspaniałe skarby sztuki z zakresu malarstwa. Otrzymała ona swego czasu drogą zapisu tzw. zbiór Jana Wilhelmsa, obejmujący 32 obrazy Rubensa, oraz 6 malowideł Rembrandta, przedstawiających sceny z życia Chrystusa. Była tam i Madonna Rafaela.

Mimo zniszczenia budynku, zbiory Pinakoteki, na czas wojny wywiezione gdzie indziej, ocalały, podobnie jak prawie wszystkie zbiory muzeów niemieckich.

ZRĘCZNA TAKTYKA RZĄDU WSCH. NIEMIEC

Możliwość rewolucji w sowieckiej strefie Niemiec spędza sen z oczu niektórym politykom Zachodu, którzy obawiają się, że w razie jakiegos wybuchu w tym obszarze Niemcy Zachodnie pośpieszyłyby z pomocą swym współrodakom, co mogłoby w rezultacie doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Korespondentka „Manchester Guardian”, pani Honor Balfour, która świeżo przyglądała się na miejscu stosunkom w Niemieckiej Republice Demokratycznej, wyraża jednak opinię, że jakieś rozruchy rewolucyjne są tam w obecnej sytuacji wysoce nieprawdopodobne.

„Nasz rząd nie popełnił błędów, jakie poczyniły rządy Polski i Węgier” — chwali się korespondentce jeden z urzędników tzw. Frontu Narodowego. Balfour uważa, że urzędnik ten miał rację i że istotnie nie zanosi się w Niemczech Wschodnich na wypadki typu polskiego lub węgierskiego.

Kłapy bezpieczeństwa. Rząd wschodnio-niemiecki — zdaniem korespondentki — składa się ze sprytnych i obrotnych polityków. Regulują oni kłapy bezpieczeństwa — i czynili to stale od czasu groźnych wypadków z 17 czerwca 1953, kiedy robotnicy wschodniego Berlina powstałi i człogi sowieckie toczyły się w dół Stalinalee. Od tego czasu polityka rządu z Pankow zmierzała stale do zaspokojenia takiego zakresu potrzeb społeczeństwa, który zapobiegłby jakiegos „pówtorce”. Taktyka ta okazała się bardzo zręczna i skuteczna.

Mówiąc zwięźle, plan podstawowy zmierza do stosowania specjalnej czujności wobec tych odłamów społeczeństwa, z których mogłaby przyjść skuteczna opozycja, i do stawienia jej czoła w każdym jej stadium. Opozycja mogłaby przyjść ze strony inicjatywy prywatnej, ze strony robotników, intelektualistów i studentów. Na każdym z tych odłamków jest trzymana z powodzeniem w szachu.

Inicjatywa prywatna. Wojna zniszczyła wielki przemysł, który istniał na obszarze Niemiec Wschodnich. Jego dawni właściciele, spomniędzi których wielu prosperuje dzisiaj w Niemczech Zachodnich, przypominają się w Niemieckiej Republice Demokratycznej tylko jako „bêtes noires”, by wystraszyć ludzi widmem odrodzenia nazizmu. Olbrzymie plakaty odmalowują dawnych kapitalistów niemieckich jako podżegaczy do wojny, w sposób demoniczny igrający bombami wodorowymi. Siedziby przemysłowców zostały skonfiskowane i zamienione na kwatery główne różnych gałęzi działalności partii komunistycznej (czyli Partii Jedności Socjalistycznej, jak się ona w Niemczech Wschodnich nazywa).

Z drugiej strony spotykamy tam zdumiewająco duży zakres prywatnego drobnego przemysłu — fabrykantów mebli, wytwórców cementu i wyposażań domów, różnych drobnych przemysłowców, sklepikarzy itd. „Nie możemy znacjonalizować wszystkiego” — oświadczył jeden z urzędników Frontu Narodowego. Zdawałoby się, że z tej strony fakty te wywoływać będą sporo zaambarasowanej krytyki, ale rząd to uprzędził. Pózwolił on na powstawanie lokalnych Izb Handlowych, złożonych z przedstawicieli inicjatywy prywatnej — politycznie, jak wynika z rozmów korespondentki, uważających się za „liberalnych demokratów” i wchodzących w skład Frontu Narodowego, popierającego rząd. Głównym zadaniem tych organizacji jest staranie się o to, by ich człon-

kowie zaopatrywani byli w materiał i siłę ludzką oraz przedstawianie interesujących ich problemów władzom.

Korespondentka rozmawiała z urzędnikiem Izby Handlowej, który kierował departamentem zajmującym się prywatnymi sklepami i restauracjami. Restauracje prywatne mogą sprzedawać żywność racjonowaną tylko na kupony, w przeciwieństwie do restauracji „HO”, prowadzonych przez Państwową Organizację Handlu. Bywa, że restauracja prywatna nie dostaje dostatecznej ilości racjonowanych. W tym wypadku sprawę bierze w swe ręce odpowiadający departament Izby Handlowej: kłapa bezpieczeństwa działa. Zycie może być niełatwe dla przedsiębiorcy prywatnego, lecz — zdaniem korespondentki — nie jest tak nieomyślnie, żeby go popychało do buntu.

Przedsiębiorstwa mieszane. W roku ubiegłym rząd zaprowadził inną formę przedsiębiorstw, mianowicie przedsiębiorstwa z udziałem państwa. Do tej pory 800 firm prywatnych zgłosiło się do uczestnictwa i podpisano już 250 kontraktów. Rzecz polega na tym, że państwo wkłada pewien określony procentowo kapitał w przedsiębiorstwo prywatne i otrzymuje odpowiedni udział w zyskach. Nie daje to państwu prawa do kierowania przedsiębiorstwem ani wyznaczania dyrektorów do zarządu. Ale właściciel prywatny ma pierwszeństwo w uzyskiwaniu dostaw i rynków, ponieważ tą drogą zostaje włączony w państwowy plan ekonomiczny, choć uczestnictwo w tym planie jest także zależne od jego woli.

Ta forma organizacyjna okazała się wcale atrakcyjna dla sporej liczby przedsiębiorców prywatnych, jakby wynikało z rozmów przeprowadzonych przez korespondentkę. Jest tylko jedno zastrzeżenie: jeżeli właściciel takiego przedsiębiorstwa chce kontrakt zakończyć, może to uczynić tylko przez wycofanie swojego udziału w gotówce, a przedsiębiorstwo przechodzi na własność państwa.

W Niemczech i w Polsce. Z tych relacji p. Balfour wynika, że sytuacja inicjatywy prywatnej w Niemczech Wschodnich, choć reżym ich uchodzi za „stalinowski”, była w każdym razie do niedawna dużo lepsza niż w Polsce, gdzie inicjatywa ta uległa niemal zupełnej likwidacji. Tym się tłumaczy zapewne zanotowany przez korespondenta prasy krajowej fakt, że w miastach, przedzielonych przez granicę polsko-niemiecką (np. w Kistrzyniu czy Słubicach) po stronie niemieckiej widać duże mimo wszystko ożywienie w handlu i rzemiośle prywatnym, po stronie zaś polskiej jest dużo gorzej. Zobaczymy, czy ulgi wprowadzone przez reżym od chwili dojścia Gomułki do władzy, przyniosą poważniejszą zmianę na lepsze.

Sytuacja robotników. W drugim swym artykule p. Balfour omawia położenie warstwy robotniczej w Niemieckiej Republice Demokratycznej i również dochodzi do wniosku, że i tu działają „kłapy bezpieczeństwa” zapobiegające możliwości jakiegos wybuchu. Robotnicy dostają za mało na życie dostatanie, ale ich położenie materialne jest lepsze niż było w pierwszych latach reżymu komunistycznego. Komorne, opał i światło są bardzo tanie, z drugiej jednak strony funt nie racjonowanego masła kosztuje aż 10 marek. Reżym stara się związać robotników z państwem przez tzw. robotnicze spółdzielnie budowlane: członek-robotnik zobowiązany jest dać 600 godzin pracy przy wznoszeniu jakiegos budynku użytecznego dla robotników.

np. szkoły lub bloku mieszkaniowego. Z chwilą dorobkowego odpracowania tych 600 godzin, dokonanego po normalnej pracy, członek spółdzielni uprawniony jest do mieszkania, które przydzielane mu jest przez kierownika związku zawodowego w jego lokalnej fabryce.

Poki tedy jest żywność — konkluduje autorka artykułu — nie ma przyczyny materialnej, by robotnicy zbuntowali się, jak to się stało w Poznaniu.

Inteligenci mogą wybierać. Ci inteligenci, którzy dostosowali się do panującego systemu, mają się materialnie dobrze. Na zajmowanych przez siebie stanowiskach pobierają wysokie pensje. Natomiast ci przedstawiciele warstwy intelektualnej, dla których ważniejsze są ich potrzeby duchowe od materialnych, mogą zawsze iść do Niemiec Zachodnich.

„W tym — stwierdza korespondentka — wydaje mi się leżeć jedna z najważniejszych przyczyn, dlaczego nie jest prawdopodobne, by w Niemczech Wschodnich powtórzyły się wydarzenia polskie lub węgierskie. Jeśli bowiem intelektualista wschodnio-niemiecki protestuje, może zawsze iść na Zachód i mimo to być w swoim kraju. Czynnikiem nacjonalizmu, który rozpała powstania gdzie indziej, w Niemczech Wschodnich jest nieobecny. Potencjalny protest gazony jest przez Niemców, którzy przenikają poprzez żelazną kurtynę. Ci, którzy pozostają na miejscu, są biernymi odbiorcami łask rządu”.

Taki jest stan rzeczy wśród warstwy intelektualnej, mimo wszystkich objawów niepokojów na uniwersytetach wschodnio-niemieckich.

LENINGRAD W OCZACH NIEMIECKICH

Choć stosunki oficjalne pomiędzy Sowietami a rządem zachodnio-niemieckim w Bonn są w dalszym ciągu chłodne, nie brak wysiłków w kierunku nawiązywania kontaktów od dołu, jeśli się tak można wyrazić. Jednym z przejawów tego była niedawna wizyta senatorów hamburskich w Leningradzie, mająca charakter półoficjalny. Odbyła się ona na krótko przed uroczystym obchodem 250 rocznicy założenia miasta przez Piotra Wielkiego, który nadał mu nazwę Petersburga. Przechrzczony w roku 1914 na skutek fali sentymentów przeciwniemieckich na Petrograd (prasa polska spolszczyła nazwę tę na Piotrogród), po rewolucji bolszewickiej został Leningradem — i tu Chruszczow wygłosił niedawno w czasie obchodu swą mowę, pełną pogroźek pod adresem zdetronizowanych wielkości partyjnych.

Wrażenia z pobytu w Leningradzie ogłosiłi teraz towarzyszący wycieczce senatorów hamburskich dziennikarze niemieccy, m. in. współredaktor największego dziennika zachodnio-niemieckiego „Die Welt” Joachim Besser.

Co w Rosji jest tanie a co drogie? Pięć artykułów Bessera potwierdza na ogół to, co o Sowietach wiadomo już od dawna, ale znajdujemy tam także szereg nowych spostrzeżeń i szczegółów. Przede wszystkim — relacjonuje Basser — dwie rzeczy są w Sowietach (nie wiadomo zresztą, czy tak jest wszędzie, bo uwagi dotyczą tylko Leningradu) stosunkowo tanie, mianowicie komorne i żywność. By to ocenić, trzeba znać wysokość przeciętnych zarobków pracowników fizycznych i umysłowych. Otóż niekwalifikowany robotnik zarabia miesięcznie 500 do 700 rubli, wysokokwalifikowany specjalista

1200 rubli, nauczycielka 900, młody redaktor 1000, robotnica w fabryce chemicznej 600, robotnik portowy średnio 1400 do 1600, architekt 4000 rubli, podobnie wyżsi funkcjonariusze. Człowiek z tłumem dostaje od 600 do 1000 rubli, jeśli mieszka w miescie takim jak Leningrad.

Komorne jest niezwykle niskie; nikt nie wydaje na nie więcej niż 7% swego dochodu, niekiedy tylko 4%. Również najprostsze odczynniki żywnościowe, jak chleb, mąka, kapuska, kasza. Z drugiej strony, kilogram masła kosztuje już 30 rubli. Posiłku w dobrej restauracji dostać nie można za cenę niższą niż 30 do 50 rubli. Natomiast posiłki w kantynach fabrycznych są tanie i dobre.

Bardzo droga za to jest odzież. Korespondent notuje, że cena gotowego ubrania męskiego, jakie oglądał, wynosiła 1800 rubli, a było to ubranie bardzo pośledniej wartości, jakiego nie miałyby na sprzedaż żaden zachodnio-niemiecki dom towarowy. Buciki damskie kosztują od 60 do 410 rubli; buciki za 410 rubli są dobre, choć nie bardzo nowoczesne, ale cena ich wynosi więcej niż połowę miesięcznej płacy robotnika.

Nie dziw, że ludzie na ulicach Leningradu, utrzymywanych zresztą czysto i porządnie, uderzają swym nędznym ubiorem. Korespondent był za to obecny na pokazie mody kobiecej w jednej z sal Leningradu, który oglądało około 2000 kobiet. Była to dla nich jakby wycieczka w krainę czarów, nie mających wiele wspólnego z rzeczywistością.

Fantastycznie drogie w Sowietach są też meble.

Bieda mieszkaniowa. W Leningradzie buduje się dużo. Buduje się olbrzymie bloki mieszkalne, dosyć tandetnie zresztą wykonawczane i odległe pod tym względem od standardów zachodnio-europejskich. Wedle danych rosyjskich na jedno mieszkanie przypada jedna rodzina. Korespondent nie mógł zbadać prawdziwości tego twierdzenia, ale stwierdził, że nędza mieszkaniowa w Leningradzie jest bardzo duża. Rodziny robotnicze mają przeważnie tylko po jednym pokoju. Dwa pokoje stanowią już rzadkie u przywilejowanie. Jednej kuchni używa kilka rodzin. Stan ten nie mógł ulec większym zmianom na skutek budowania bloków mieszkalnych, buduje się bowiem powoli. Nie buduje się w ogóle małych domków ani willi. Państwo komunistyczne woli wielkie gmachy na kształt uli.

Mnóstwie pieniędzy idzie na budowę metra leningradzkiego. Wyposażone jest ono rownie bogato, jak dawniej zbudowane metrowie moskiewskie. Wszędzie białe marmury, rzeźbione, wielkie, ozdobne hale. Każda ze stacji budowana jest według innych wzorów architektonicznych, ale wszystkie wykazują tę samą pompę. Stacja kolejki podziemnej przy Placu Nauki posiada portrety wybitnych uczonych Związku Sowieckiego, inna poświęcona jest uczczeniu Puszkina. Korespondent znalazł za to tylko jedną podobiznę Stalina. Było widocznie rzeczą zbyt kosztowną usuwać ją i zastępować czymś nowym.

Narodowi rosyjskiemu — stwierdza p. Besser — próbuje się odebrać religię. Ponieważ naród ten ma pragnienie wiary, daje się mu jej namiastki; jedną z nich jest kult techniki. Tylko w ten sposób da się wytłumaczyć pompę sowiecką.

Zatrucie propagandą i fermentująca młodzież. Mimo wszystkich dodatnich stron sowieckiej rzeczywistości — stwierdza korespondent — całe światy leżą między nią a rzeczywistością Zachodu. Czynnikiem działającym są przede wszystkim zniekształcenia propagandy sowieckiej. Besser przytacza jako przykład to, co sam usłyszał od jednego z członków zarządu miejskiego Leningradu podczas bankietu, wydanego ku czci gości hamburskich. Gdy tenor Gawlikin odśpiewał słynną arię z „Pajaców”, korespondent zrobił pod adresem swego sowieckiego sąsiada uwagę:

— Ten człowiek mógłby śpiewać w nowojorskiej Metropolitan.

Na to tamten zagadnął:

— A gdzie by pozostawiono tych trzydziści sześć dziewcząt, gdyby on przyszedł?

— Jakich dziewcząt?

— No, tych sex-girls. Amerykanie przecież nie mają pojęcia o sztuce. Dają tam tańczyć girlsom.

— Ależ, przecie — odparł korespondent — Metropolitan jest wraz z operą moskiewską i Scala mediolańska najslawniejszą operą świata. Nie występują tam żadne girlsy.

Sąsiad spojrzął spode łba podejrzliwie i odparł:

— Ach, to jest kiepski żart. To co pan mówi, to jest propaganda. Czytałem dość na ten temat.

Istotnie — zauważa korespondent — czytał to w swoich gazetach i nie wierzył swemu rozmówcy, który był dla niego po prostu

agitatorom kapitalistycznym. Starsze pokolenie funkcjonariuszy sowieckich, które teraz rządzi, jest zadowolone z tego, co posiada. Żyje ono w lepszych warunkach niż masa, myśli tylko to, co jest pożądane, i unika wszelkiego niepokoju duchowego. Ale młodzi ludzie, w szczególności studenci uniwersytetu leningradzkiego, którzy także w sprawie węgierskiej zajmowali stanowisko odmienne od oficjalnego, poszukują rzeczywistości poza propagandą. Dlatego też niektórych spośród nich spotyka się często w obu hotelach dla cudzoziemców, „Astoria” i „Europa”. Ryzykują, że będzie szedł za nimi policjant i sprawdzają ich personalia. Ale zaden policjant nie pojawi się w obecności cudzoziemców. W hotelach dla cudzoziemców grają orkiestry taneczne, tańczą tam ludzie z Zachodu, można tam coś niecoś zobaczyć i rozerwać się. Nie należy tego przeceniać, ale — zdaniem autora — pokazuje to, że straszliwe „zamrożenie” między Wschodem i Zachodem mięknie.

Czy nawet ten ostrożny wniosek korespondenta nie jest zbyt optymistyczny? Czy młodzi ludzie, o których mowa, kiedy z czasem obejmą stanowiska w sowieckim aparacie politycznym i gospodarczym, nie upodobnią się do swych poprzedników, po młodzieńczym „wyszumieniu się”? Trudno na to pytanie dzisiaj odpowiedzieć.

W każdym razie, jak wynika z korespondencji, delegacja senatorów hamburskich czyniła wszystko, by wykorzystać swą wizytę dla poprawy stosunków między Niemcami zachodnimi a Sowietami — w tym zakresie, w jakim to było możliwe. Na bankiecie, po toaście wzniesionym przez burmistrza Leningradu Tolstikowa, zabrał głos senator z Hamburga Plate, który sięgnął do przeszłości stosunków rosyjsko-niemieckich i przytoczył słowa starego przywileju rosyjskiego dla kupców hamburskich z roku 1091, zawierającego następujące zdanie: „Przywrócony ma być znowu dawny pokój”. W tym duchu Plate wznosił też toast, zapraszając Rosjan do rewizytowania Hamburga.

„PLAN BADAJOZ”

Nie tylko demokratyczny rząd włoski, ale i autorytatywny reżym gen. Franco w Hiszpanii przeprowadza obecnie roboty publiczne, zakrojone na ogromną skalę, a mające na celu osiedlenie na dotychczasowych nieużytkach tysięcy rodzin proletariatu wiejskiego. W Hiszpanii największym takim przedsięwzięciem jest tzw. plan Badajoz, urzeczywistniany od dziesięciu lat na dużych obszarach, położonych po obu stronach rzeki Guadiana. Obszary te, do niedawna dziki step, stanowią dziś szachownicę uprawnień pól, poprzecinanych kanałami i rurociągami. Tegoroczne żniwo zapowiada się doskonale — i wszędzie widać pracujących „colonos” (osadników). Nie cały przewidziany obszar został już przekształcony; gdy się spogląda, od pól widać piaszczyste wzgórza, które są pozostałością stepu. Niedługo już jednak i te wzgórza zostaną zlikwidowane przez zrównanie ich przy pomocy ogromnych amerykańskich maszyn ziemnych. Pracami, które przeobrażą oblicze całej prowincji, kieruje Instytut Kolonizacji Wewnętrznej.

W krainie proletariatu wiejskiego. Kiedy patrzy się na owe wzorowe, równo wydzielone pola, na myśl przychodzi bagna pontyjskie, osuszone przez Mussoliniego. Rząd gen. Franco miał tu jednak zupełnie inne problemy; chodziło nie o osuszenie bagien, ale



Don Juan Carlos, syn pretendenta do tronu hiszpańskiego, pakuje swój bagaż opuszczając akademię wojskową w Saragossie, w której zdobywał wykształcenie militarne

przeciwie o nawodnienie stepów. W obu wypadkach jednak celem jest zamiana zie zagospodarowanych latyfundiów na samowystarczalne gospodarstwa chłopskie. Do tej pory gospodarka rolna na południu Hiszpanii była z reguły ekstenzywna. Prowincja Badajoz, ciągnąca się wzdłuż granicy portugalskiej, jest największą prowincją całego kraju. Do niedawna trzy czwarte ziemi w niej znajdowało się w rękach wielkiej własności.

Instytut Kolonizacji Wewnętrznej ukończył już budowę osiemnastu nowych wsi, a do zakończenia realizacji „planu Badajoz” w roku 1965 będzie ich czterdzieści. Między jedną wsią a drugą odległość wynosi najwyżej 6 kilometrów, tak że z wieży któregośkolwiek z nowych kościołów widzi się wieżę innego, jeśli nawet nie parę, co w Hiszpanii jest rzadkością. Przez nawodnienie i intensywną uprawę — odległości ulegają skróceniu.

Prace podjęte zostały przez Instytut na serio w roku 1947 — i w ten sposób rozpoczęło się dzieło, które było przedmiotem zapowiedzi i obietnic rządów hiszpańskich od początku bieżącego stulecia, mianowicie dzieło reformy agrarnej. Od dawna już była ona rodzajem demagogicznego sloganu, pod którym masy rozumiały nic innego jak tylko rozbicie wielkiej własności ziemskiej i podział jej między bezrolnych i małorolnych. Sprawa była zawsze i jest bardziej skomplikowana, niż by to mogło się wydawać.

Reforma rolna w toku. Nigdzie chyba w Europie nie ma uboższego proletariatu wiejskiego niż w hiszpańskich prowincjach Badajoz i Jean, gdzie w obszarach o jednym tylko rodzaju uprawy pracownicy o płacy dziennej zatrudnieni są tylko przez parę tygodni w okresie żniw, resztę zaś roku są bezrobotni. Nie pomógł by im wiele, gdyby rozdzielono między nich jałowe płaszczyzny, które nie mogłyby być nigdy nawadnione, bezrobotni. Nie pomógłby im wiele, gdyby przystąpiono do wywłaszczenia i rozparcelowania latyfundiów, porzeczając ich posiadaczom, które jest niebezpiecznym

warunkiem intensywniejszej gospodarki. Ta właśnie koncepcja leży u podstaw „planu Badajoz”.

Reżym gen. Franco zdecydował się na realizację tego planu, który uważać trzeba za najdonioślejsze jego, jak dotąd, dokonanie społeczne. Postarał się najpierw o ustawę, w myśl której w obszarach, których ludność cierpi na „sezonowe” bezrobocie, wielka własność ziemska „w interesie społecznym” może podlegać wywłaszczeniu. Nie podlegają mu wielkie majątki, które już obecnie z inicjatywy właścicieli są nawadniane. Kiedy przed dziesięć laty stały się wiadome zarysy planu, wielu właścicieli ziemskich chcąc uprzędzić interwencję państwa przeprowadziło nawodnienie swych pól.

Co dostają osadnicy? Nowi osadnicy — można by ich nazwać „nowymi chłopami” — otrzymują grunty wielkości 4 do 5 hektarów, co z punktu widzenia wydajności uważane jest za obszar technicznie najodpowiedniejszy. Uprzywilejowane są szczególnie rodziny o dużej liczbie dzieci. Osadę swoją „nowi chłopcy” obejmują bez wpłaty choćby grosza. Otrzymują oni po dwie krowy, które stają się ich własnością pod warunkiem, że oddawać będą Instytutowi z przychodku dwuletnie cielęta, przez siebie wyhodowane. Instytut dostarcza maszyn dolniczych, nawozów sztucznych i nasion, — wszystko to jest spłacane przez dostawy 60% plonów kukurydzy, zbóż i bawełny.

„Colonos” pracują pod systemem kurateli, spod której mogą być zwolnieni najwcześniej po pięciu latach. Dla każdego z nich Instytut prowadzi konto, które u pierwszych, osiedlonych już od kilku lat „nowych chłopów” stanowi już poważny majątek. Im korzystniej ono wygląda, tym szybciej następuje zwolnienie spod kurateli i tym szybciej amortyzuje się grunt i budynki, które stają się pełną własnością osadnika po trzydziestu latach.

Poki trwa kuratela, we wsiach rządzi agronom państwowy, który ustala, co każdy z osadników musi uprawiać. Wyjątek stanowi pół hektara, które można używać pod uprawę warzyw, kartofli i innych rzeczy na użytek własny osadnika.

Nie chodzi tylko o to, by zmienić oblicze prowincji i nawodnić dotychczasowe pustacie. Rzeczą jeszcze trudniejszą jest przekształcić charakter ludności, która od pokoleń żyła w stanie pół-pańszczyzny, z dnia na dzień, a teraz nagle otrzymuje własność, którą może dysponować. Dotychczasowe doświadczenia w tym zakresie są bardzo zachęcające. Początkowo ludzie nie bardzo mogą się przyzwyczaić do swej nowej roli. Kiedy jednak po pierwszym żniwie na dobro ich zapisana zostaje pierwsza suma pieniędzy, ich dotychczasowa nieufność i wahania mijają i, jak twierdzą młodzi agronomi sprawujący władzę po wsiach, na miejsce tych cech negatywnych występuje zapał do pracy i duma posiadaczy.

Jeśli tak jest istotnie, przeprowadzona reforma okaże się dobrodziejstwem dla całej Hiszpanii.

OBCIĘTY WYWIAD

Czerwony ołówek cenzora „Prawdy” nie oszczędził ostatnio nawet Chruszczowa. Rzecz poszła o jedno wytwórnię i jedną odpowiedź w wywiadzie udzielonym przez Chruszczowa telewizji. Ten głośny wywiad ukazał się w „Prawdzie” obcięty. Obcięta ta część rzeczonego wywiadu nastąpiła także i w Pekinie. Rzecz dziwna! Ten sam ustęp, który wydawał się „Prawdzie” niepotrzebny, czy niebezpieczny, padł także ofiarą goriwości

BIBLIOTEKA POLSKA

Subskrypcja na sierpień

FRANCISZEK ADAM ARCISZEWSKI

CUD NAD WISŁĄ

(ROZWAŻANIA Z OŁNIERZA)

Książka zawiera niezwykle interesujący opis przebiegu bitwy

pod Warszawą z armią sowiecką w roku 1920 oraz oceny i

oświetlenia historyków polskich i obcych. Czytelnik znajdzie

w niej także 6 planów i wykaz imienny dowódców wielkich jednos ek

bojowych. Cena do 31 sierpnia 1957 — szyl. 10/-; dol. 1.50; fr. fr. 500.

Zamówienia przyjmuje: KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY

„VERITAS”

12 Praed Mews, London, W. 2, England.

cenzura chińskiego. Nie jest to kwestią przypadku, że zarówno po jednej jak i po drugiej stronie cenzorzy od dawna usiłują pokryć białymi plamami fakt ideologicznego rozłamu dwóch komunizmów: chińskiego i rosyjskiego. W ostatnich przemówieniach Mao-Tsi-Tunga nie tylko zaznaczyły się różnice w pojęciach obydwo komunizmów, lecz także w pojmowaniu samej istoty komunizmu.

Po mowach Mao-Tse-Tunga wypłynęło, od dawna przemilczane, zagadnienie zasadnicze dla całego komunizmu: czy dyktatura proletariatu jako system wywodzi swą władzę prawnie z woli ludu? Dalej: czy w systemie komunistycznym mogą powstać różnice poglądów między władzą a ludem? Dotychczas każdy szczery komunista odpowiedziałby na pierwsze pytanie „tak”, na drugie „nie” — bez zająknięcia. Tymczasem Chruszczow w czasie owego sławnego wywiadu nieco się zająknął. Wyglądało to tak:

Redaktor Schorr: „Mister Chruszczow, według ostatnich sprawozdań z Pekinu dowiadujemy się, że niektórzy (z komunistów chińskich) wyrazili przekonanie, że w państwie socjalistycznym istnieją możliwości różnicy pojęć między władzą państwową a masą ludową. Pragnę więc zapytać pana, czy także i sowieccy komuniści mogą akceptować taki punkt widzenia?”

Chruszczow próbował dać wymijającą odpowiedź:

„Każde, nie tylko socjalistyczne, lecz i kapitalistyczne państwo ma swoje własne drogi i stopnie rozwoju. Każdy naród ma swe zwyczaje, obyczaje oraz własną historię. Partie komunistyczne poszczególnych krajów muszą to wszystko brać pod uwagę. Nasi przyjaciele chińscy mają wiele oryginalnych idei, według których pragną rozwijać socjalizm w ich kraju. Udało im się także wprowadzić wiele nowych pomysłów, które uwzględniają zupełnie specyficzne warunki chińskie. Lecz na tym polu w zasadzie nie ujawniają się sprzeczności w ujęciu zasad ideologii marksistowskiej.”

Reportek Schorr nie puszcza węgorka z ręki:

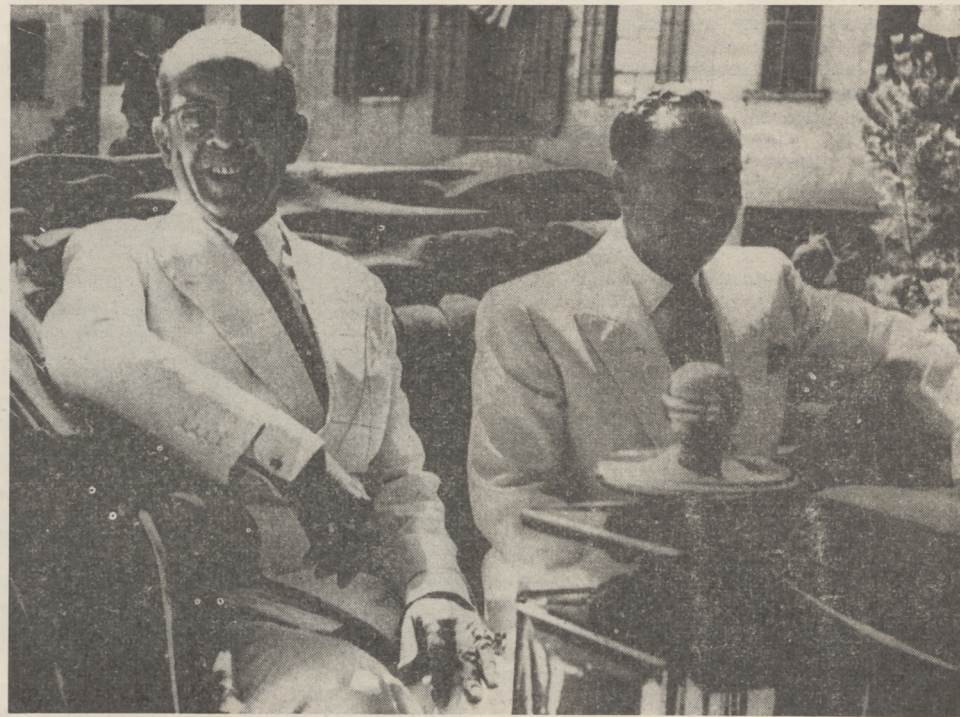
„Czy jednak pan przypuszcza, że takie różnice (między masami a kierownictwem) w dzisiejszym Związku Radzieckim nie egzystują?”

Chruszczow:

„Wierzmy, że wśród nas nie ma podobnych sprzeczności”.

Ścisłe mówiąc dotychczas marksiści w ogóle nie dyskutowali tego rodzaju zagadnień. O różnicach zdań na ten temat między sowieckimi a chińskimi komunistami tylko przebąkivano tu i ówdzie*; przedostawały się one raczej w postaci pogłosek, czy kalkulacji politycznych. Lecz w ciągu ostatniego tygodnia Pekin podał pełną treść dwóch dotychczas nieznanych mów Mao-Tsi-Tunga, z 27 lutego i z 12 marca. Obie zajmują się problemami, które dla cenzorów zarówno Moskwy jak i Pekinu są sprawą bardzo śliśką.

Z punktu widzenia teorii komunistycznego państwa i jego władz, zagadnienie: czy komunistyczna dyktatura jest oparta na podstawach prawnych, była zawsze pięta achillesowa wszelkiej „dialektycznej filozofii”. W demokratycznych państwach zachodniego świata prawo do władzy opiera się na woli większości wyborców. Według teorii Marxa i Engelsa komunistyczna partia otrzymuje swe dyktatorskie uprawnienia z ramienia ludu. Partia ma panować „od dołu”, i opierać się o wolę ludu i dlatego



Król Grecji Paweł i Tito na wyspie Brioni w Jugosławii

nazywa ją każdy komunista „demokratyczną”, względnie „ludowo-demokratyczną”.

Jednak Lenin wcale nie miał ochoty na to, by dyktatura partii była kontrolowana przez masę ludową. By jednak udowodnić prawo, w dodatku — trwałe prawo — do dyktatury proletariatu trzeba było sięgnąć do chwytów dialektycznych. Lenin więc pisze: „Aby zwyciężyć kapitalizm, jest rzeczą konieczną, by istniały właściwe stosunki między kierującą partią komunistyczną ... a masami”. Stalin komentuje Lenina w ten mniej więcej sposób: „Autorytet partii coraz bardziej wymaga dyktatury proletariatu, żelazna dyscyplina klasy robotniczej, nie polegają na strachu, czy nieograniczonym prawie partii, lecz na zaufaniu klasy robotniczej do partii”. Rzecz jasna, nie podaje jak ma się zaufanie mas zdobywać i jak ma klasa robotnicza je ujawniać.*

Dla Mao, wcale niezłego poety w stylu chińsko-klasycznym, tego rodzaju bardzo mgławie ugruntowanie władzy i dyktatury proletariatu było w najwyższym stopniu mało dogodne, może nawet — niezbyt sympatyczne. W każdym razie w swoim studium, ogłoszonym zresztą już bardzo dawno temu, doszedł do pewnego przekonania, które znalazło się na samej granicy tego, co nazywać byśmy mogli klasycznym komunizmem. Mao pisze:

„Należy studiować bardzo skrupulatnie zapatrywania mas, należy je systematycznie porządkować i formułować. W nowej formie powinno się z powrotem je masom przedstawiać, tłumaczyć i popularyzować tak długo, aż masy rzeczywiście uznają je w całości za swoje”...

Zarówno „październik polski” jak i powstanie węgierskie przemówiło do Mao w sposób, który można by nazwać przestroga. Pokazało się bowiem na tych dwóch przykładach, że przekazywanie masom ideologii komunistycznej przez funkcjonariuszy partii zawiodło tragicznie. I to zawiedli sami

* Stary lajdark Fryderyk II ujął to jasniej w XVIII w. „Maul halten und weiter dienen”, w tłumaczeniu polskim: „Pysk na kłódkę i słuchać”.

funkcjonariusze. Toteż w dwóch swoich mowach, o których już wspomnieliśmy na początku, Mao dał wyraz szczeremu prawdopodobnie przekonaniu, że różnice między panującym a rządzącym, kierownikiem a kierowanym, mogą zaistnieć, co więcej zaistnieć muszą. Są zaś nie zwyrodnieniem, lecz zjawiskiem całkowicie naturalnym.

Mao posunął się także dalej, krytykując samo założenie teorii komunistycznej: „Tego rodzaju zagadnienia są nowe dla marksizmu - leninizmu. Są nowe, gdyż ani dla Marksa ani dla Engelsa te problemy nie mogły być znane. Lenin zapoznał się z nimi, lecz nie mógł się zajmować tego rodzaju wewnętrznymi sprawami, gdy Rosja stała wobec zagrożenia obcej interwencji. Stanowisko Stalina do całej tej sprawy było całkowicie negatywne. Niszczył wewnętrzne trudności w partii, by się móc uporać z zewnętrznymi. Rezultatem był terror i likwidacja tysięcy komunistów.”

Zas stały terror — twierdził dalej Mao — musi doprowadzić tylko do rozmaitych trudności wewnętrznych, lub do zjawisk, jakie obserwowało się na Węgrzech. Dorzucza do słowne: „Przy tej sposobności rozplynęła się w nicosć w ciągu kilku dni cała komunistyczna partia węgierska, zaś oparte na niej państwo przestało istnieć”.

Dyktatura proletariatu, zdaniem Mao, może być zwrócona jedynie przeciw wrogom ludu, nie można jej stosować do całej ludowej masy. Koniec końcem lud nie może przeciwko samemu sobie stwarzać terrorystycznej dyktatury.

„Możemy stosować tylko demokratyczne metody: dyskusji, krytyki, przekonywania i wychowania, nie zaś narzucania i zmuszania”.

Zacytowany poemat o którym pisała cała prasa światowa brzmi zaś w wolnym tłumaczeniu:

„Pozwól zakwitać setkom rozmaitych rodzajów kwiatów,

Pozwól setkom szkół ludzkiej mądrości sprzeczać się o drogę do niej. Przy tej sposobności wyznał, że na drodze do komunizmu stracono 800.000 Chińczyków co zresztą znawcy uważają za cyfrę raczej

nie dociągniętą, oceniając w sumie te straty na około 5 milionów ludzi.

Mao tłumaczy te sprawy, nie uciekając się przy tym do teorii marksizmu czy leninizmu, lecz po prostu powiada:

„Każdy problem należy ujmować jako całość. Wszystko na tym świecie ma bowiem dwie strony: dobrą i złą”.

M. Liss

PROTEST DUCHOWIEŃSTWA

Basistowska ustawa o zastosowaniu przymusowej segregacji (apartheid) w kościołach, przeprowadzona przez rząd Unii Południowo-Afrykańskiej, spotkała się z protestem i jawnie ogłoszonym oporem wszystkich wyznań. Biskupi anglikańscy w liście pasterskim wezwali do przeciwstawienia się ustawie i zapowiedzieli utworzenie specjalnego funduszu, by pomagać tym, którzy cierpieć będą na skutek oporu wobec zarządzeń. Ustawa daje prawo władzom karania tych wszystkich, którzy łamać będą zakaz uczęszczania do danego kościoła; duchownym oskarżonym o łamanie ustawy grożą kary grzywny (10 funtów za pierwsze przekroczenie, 25 za następne) i więzienia (2 a następnie 3 miesiące).

Napięta sytuacja zaostrza się jeszcze bardziej, gdy się zważy, że opór wobec nowego prawa podpada również pod niehumanitarny przepis ustawy „dodatkowej do kodeksu karnego”, uchwalonej przez większość rządową w roku 1952 w okresie biernych strajków przeciwko segregacji. Ta ustawa grozi wszystkim tym, którzy jakiegokolwiek prawem łamią, karą chłosty i więzienia do lat pięciu!

Gdy uchwalano wprowadzenie zasady „apartheid” do spraw wyznaniowych, jeden z posłów nacjonalistycznych, von Moltke, wzywał rząd, by nie wahał się opornych duchownych karać chłostą „dla dobra ich dusz”... — Dziś społeczeństwo Afryki Połud-

„CZYŃCIE ZIEMIĘ SOBIE PODDANĄ”

(Dokończenie ze str. 6)

moralnych, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wobec własnego narodu próby te przeprowadzać. Oczywiście jednak obowiązują go wtedy wyżej omówiona zasada moralna, aby próby te przeprowadzać w sposób taki, by ich możliwe skutki ujemne, tak obecne, jak i dla przyszłych pokoleń, zredukować do minimum. stosując po temu wszelkie środki, jakimi technika i nauka w danej chwili rozporządza i ograniczając rozmiary i ilość prób do istotnie niezbędnego minimum.

Odwieczne podstawy moralne. Choć rozwój fizyki atomowej stawia przed ludzkością nowe problemy natury moralnej, w gruncie rzeczy nie są to jednak problemy nowe, lecz odwieczne zagadnienia dobra i zła, stosunku jednostki do społeczeństwa, obrony słusznej i niesłusznej, jedynie tylko oświetlone nowym potężnym światłem wybuchów bomb atomowych i wodorowych oraz jarzącym się blaskiem stosów atomowych.

A odpowiedź na nie, jak na wszystkie problemy moralne ludzkości, nie należy od zmiennych koniunktur, czy też od zmieniającego się układu środków produkcji i warunków społecznych, ale szukać jej należy w odwiecznym, przez Boga ustanowionym prawie naturalnym i w Bożych nakazach, objawionych ludzkości na górze Synaj i naukami Syna Bożego.

Dr Tadeusz Felsztyn

niowej, a z nim przyjaciele wolności w świecie całym, czekają, czy policja odważy się z rozkazu rządu karać chłostą i więzieniem... biskupów!

500 TYSIĘCY FUNTÓW

Brytyjskie związki zawodowe (Trade Unions Council — TUC) wpłacą pół miliona funtów, zebranych w drodze zbiórki, jako udział w światowym funduszu specjalnym 2 milionów funtów, Międzynarodowej Konferencji Wolnych Związków Zawodowych (IOFTU) dla niesienia pomocy robotnikom w krajach zacofanych gospodarczo oraz ofiarom ucisku komunistycznego i faszystowskiego.

Przedstawiciele brytyjskich związków zawodowych na kongresie w Tunisie, Tewson i O'Brien (znany katolicki działacz syndykalny), którzy zgłosili ten imponujący udział w funduszu, odparli ostro zarzut „kolonializmu” w imieniu brytyjskiego świata pracy: „...najstarszy w świecie ruch związkowy, głosił hasła wolności i niepodległości od dawna... walczył z reakcją, także w swoim własnym kraju... starał się rozpowszechnić zasady sprawiedliwości społecznej i wolności wszędzie...” — Zarzut kolonializmu i reakcyjnego ucisku kierować dziś należy gdzie indziej!

TURYŚCI

Delegacja górników szkockich odwiedziła Węgry. Prasa brytyjska na ogół zgodnie wytknęła ogłoszone po powrocie sprostowanie, stanowiące najwiersniejsze odbicie oficjalnej komunistycznej propagandy.

Według „wnikliwych” obserwacji delegacji, której przewodził John Wood, sekretarz generalny szkockiego okręgu Związku Górników (NUM), robotnicy i studenci walczący w powstaniu w październiku ub. roku, to „kontr-rewolucjoniści”, uzbrojeni przez „brytyjskich i amerykańskich imperialistów”; najezdnicza armia uciśnionego narodu; rząd Kadarą, narzucony przez sowieckiego okupanta — to ojowska władza przez lud węgierski kochana... — Głupota staje się współnikiem zbrodni.

Znacznie trzeźwiejsza ocena przypada w udziale Albanii, dokąd udała się grupa 14 brytyjskich turystów, którzy po długich staraniach otrzymali wizy i objechali ten kraj. Wrażenia z podróży, ogłoszone przez Artura Kay, nie są powtarzaniem sloganów propagandowych, choć przemilczają drażliwsze tematy.

Ze sprawozdania wyjawia się smutny obraz kraiku całkowicie odciętego od niekomunistycznej Europy i od Jugosławii; racjonalowanie żywności nadal obowiązuje (obejmuje m. in.: mięso, cukier, ryż, chleb i ser), a ceny na rynku otwartym są trzykrotnie wyższe od cen, liczonych za racje; odzież jest droga i w niedzonym gatunku; płace w stosunku do poziomu europejskiego niezmiernie niskie (nie wykwalifikowany robotnik dostaje jedną trzecią płacy minimalnej, obowiązującej w Wielkiej Brytanii); ilość „doradców”, wspomagających gospodarkę małej Albanii a pochodzących z krajów „demokracji ludowej”, oblicza się na ponad 10.000, z czego połowa to Rosjanie; nie brak gości z „zaprzyjaźnionych” republik, a dla znakomitszych spośród nich zarezerwowano całkowicie jedyny nowoczesny hotel w Tiranie... Wbrew oczekiwaniom państwowego urzędu turystycznego „Alburtist”, wzworowanego na sowieckim „Inturyście”, objazd kraju entuzjazmu nie wzbudził.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

10 lipca —

* CHRUSZCZOW I BUŁGANIN przybyli do Pragi witani bardzo okazale przez partię i rząd czechosłowacki.

* MALENKOW został zesłany do miasta Ust-Kamienogorsk we wschodnim Kazachstanie, gdzie ma objąć stanowisko dyrektora elektrowni.

* NEHRU przybył do Kairu w roli pośrednika pomiędzy Wielką Brytanią a Egiptem.

* W PEKINIE, na Kongresie Ludowym, przewodniczący Ligi Demokratycznej potępił 6 członków swego s. rolnictwa za „podkopanie nowego systemu społecznego”.

* PREMIER japoński Kishi zreorganizował swój rząd; podkreślił przy tym dążenie do niezależnej polityki zagranicznej i do gospodarczej współpracy z Azją południowo-wschodnią.

11 lipca —

* W GENEWIE odbyło się 68 spotkanie delegatów Stanów Zjednoczonych i Chin; rozmowy te rozpoczęto 1. 8. 1955 roku.

12 lipca —

* W PODKOMISJI rozbrojeniowej N. Z. delegat sowiecki Zorin zarzucił Stanom Zjednoczonym, że wysuwają one swoje postulaty w formie ultimatum.

* W STANACH ZJEDNOCZONYCH Komisja Energii Atomowej i Departament Obrony wydały długie opracowanie, stwierdzające, że próbné wybuchy atomowe prowadzone w dotychczasowym tempie nie wyrządzą organizmowi ludzkiemu żadnej szkody.

13 lipca —

* W NIEMCZCZECH WSCHODNICH K. C. partii ogłosił szereg decyzji zacieśniających kontrolę nad życiem społecznym i kulturalnym kraju oraz nad młodzieżą.

14 lipca —

* W LENINGRADZIE, w dniu święta marynarki, marsz. Zukow wygłosił mowę popierającą w pełni Chruszczowa i jego plan reorganizacji gospodarczej; zaatakował państwa zachodnie w związku z rokowaniami rozbrojeniowymi.

* PARTIA SOCJALISTYCZNA Niemiec zachodnich ogłosiła, że w razie zwycięstwa w jesiennych wyborach rozpocznie negocjacje o wystąpienie Niemiec z NATO oraz zniesienie obowiązkową służbę wojskową; następnie zaś podejmie inicjatywę w kierunku zjednoczenia Niemiec i zawarcia europejskiego układu bezpieczeństwa.

15 lipca —

* DO MOSKWY udała się jugosłowiańska delegacja celem uzyskania pomocy gospodarczej, do której Związek Sowiecki zobowiązał się w sierpniu ubiegłego roku, lecz którą wstrzymał z powodu sporu o Węgry.

* 5.200 OSÓB ZBIEGŁO w poprzednim tygodniu z Niemiec wschodnich. Jest to o 20% więcej niż przeciętnie w ciągu poprzednich miesięcy.

* GRECJA zażądała nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia NZ w sprawie Cypru.

* RZĄD HISZPAŃSKI oświadczył w parlamencie, że po gen. Franco na czele państwa stanie monarcha; będzie nim prawdopodobnie wnuk ostatniego króla, 19-letni Juan Carlos.

* Patrz „Chińskie cienie” ŻYCIE nr. 24 (521).

W POSZUKIWANIU WYJŚCIA Z CHAOSU

W siedemdziesiątą rocznicę urodzin niemieckiego pisarza Hermana Hesse, laureata nagrody Nobla za rok 1946, na półkach księgarskich ukazało się drugie wydanie jego biografii napisanej w pięćdziesiątą rocznicę urodzin Hessa, piórem przyjaciela, Hugo Balla. Ta biografia przypomina światu o autorze książki, który zmarł w Szwajcarii w roku 1929 mając zaledwie 41 lat, a który w ciągu swego krótkiego żywota przeżył długą drogę od nihilizmu Nietzschego po praktykowany katolicyzm.

Hugo Ball był Niemcem urodzonym w małym miasteczku Palatynatu Reńskiego, Pirmasens, dnia 22 lutego 1886 roku. Rodzice jego, przeciwi mieszczanie dali mu wychowanie głęboko religijne, ale nie stał ich było na danie mu wykształcenia o jakim marzył. Zamiast więc wyższych studiów musiał zabrać się do rzemiosła, gdyż rodzina była liczna i skromne środki materialne nie pozwalały na utrzymanie syna w jednym z miast uniwersyteckich. Hugo rwał się jednak do książek i po całym dniu ciężkiej pracy zasiadał do czytania i czytał często do białego dnia. Ten tryb życia nie mógł trwać długo, nadwężone zdrowie odmówiło posłuszeństwa i — po orzeczeniu lekarzom — rodzina musiała się zgodzić na wybór między rzemiosłem i nauką. Wystawo więc w końcu chłopca na uniwersytet monachijski, gdzie zaczął studiować filozofię. Miał już za sobą pewne wiadomości z tej dziedziny, jednak bardzo chaotyczne, bo choć czytał dużo, to jednak bez żadnego wyboru ani kierunku. Od najmłodszych lat pasjonował się teatrem ze sztukami Szekspira, jak również pociągała go twórczość Nietzschego. Poznanie filozofii Nietzschego odbiło w nim pociąg do studiów filozoficznych w ogólności.

Nietzsche odsunął go od Boga. Wartości nadprzyrodzone miały być zastąpione przez walory estetyczne, sztuka miała się stać głównym motorem życia młodego Balla. Rzucił nawet swoje studia, by całkowicie poświęcić się sztuce.

Wydawało mu się w tym okresie, że jedynie teatr mógł spełnić rolę wyjątkową w głoszeniu nowych ideałów świata, w przekształcaniu osobowości człowieka. Został uczniem szkoły dramatycznej w Berlinie, tam zapoznał się z twórczością dramatyczną Franka Wedekinda, znanego cynika owych czasów, który miał — jak wiadomo — nie miały też wpływ na twórczość Stanisława Przybyszewskiego. Walka z moralnością, walka z wszelką formą religii, swoisty satanizm charakteryzowały współczesny teatr niemiecki, któremu Hugo Ball chciał się poświęcić. Jednak wrodzone poczucie umiaru i trzeźwy sąd bronią go przed utraceniem równowagi moralnej: wprawdzie podąża za Wedekindem, lecz nie ślepo, usiłuje wcielać jego myśli w życie, ale w sposób o wiele bardziej subtelny. Przebiega miasta i miasteczka niemieckie głosząc nowe idee. W swych nie kończących się wędrówkach zaczyna o Monachium i tam organizuje poranki niedzielne, by odciągnąć ludzi od nabożeństw.

Prócz Nietzschego i Wedekinda trzecią osobowością, która zaciążyła na twórczości i życiu Hugona Balla był Rosjanin, nihilista, Wasyl Kadyński.

Wojna roku 1914 zastała Hugona w Monachium w pełni pracy nad organizowaniem nowego teatru. Stamtąd udał się na front belgijski w roli obserwatora. Zniszczenia

dokonane w Belgii, cała groza wojny kazała mu inaczej spojrzeć na sztukę i pod wpływem prawdziwych klęsk i powikłań fikcja teatru wydaje się daleka od życia i bład. Szuka nowych dróg. Staje się zdecydowanym przeciwnikiem wszelkiej wojny, wszelkich form militarystyki światowej. W obliczu wszechświatowej tragedii cęramnie usiłuje znaleźć rozwiązanie palącego problemu istnienia.

W tym okresie niezwykle napięcia nerwowego poznaje młodą pisarkę niemiecką Emmę Hennigs, głęboko wierzącą katoliczkę, której artystyczna i subtelna natura pociągnęła go bardzo do siebie. Niewątpliwie, Emma Hennigs odegrała nieposlednią rolę w powrocie Hugona Balla do Kościoła. Lecz długa jest droga powrotna.

Krzywdy i zniszczenia wojenne, wstręt do militarystyki, zerwanie z teatrem, wszystko to wpływa podniecająco na umysł Balla i sprawia, że zostaje on zdecydowanym anarchistą. Chcąc oderwać się od gwałtów wojennych w roku 1915, roku tryumfów militarnych swojej ojczyzny, opuszcza Niemcy, udając się do Szwajcarii, nie jako dezerterski, ale jako człowiek szukający nowych, bardziej przekonujących celów istnienia. Utopie anarchii nie dają mu zadowolenia, rozwiązania ekonomiczne wydają się absurdalne, szuka uspokojenia w dziedzinie całkowicie irracjonalnej i staje się wreszcie jednym z twórców tak modnego w latach 1917-1920 dadaizmu. Dźwięsi wyzwolone z jakiegokolwiek znaczenia mają oddać prawdziwie treść wewnętrzną umęczonego życiem współczesnego człowieka. W Zurychu zakłada nową placówkę: kabaret Voltaire, w którym gromadzą się poeci i artyści, będący w kolizji ze sztuką, nauką i życiem. Tworzą oni w bardzo dziwacznej formie swoje „poematy”, mające wyrazić to, czego się wyrazić nie da.

Sam Hugo Ball tłumaczy ten swój okres życia w taki sposób: „...Wobec śmierci Boga świat stracił całe swoje znaczenie, Jego miejsce zajął chaos. Człowiek utracił swój Boski pierwiastek, stał się zwykłą materią, przypadkiem, zlepkiem atomów, zwierzęciem. Głęboka przemiana oderwała go od Boga, przerwane zostały wszelkie więzy, zniszczone wszelkie kieki życia. Artysta stanął w obliczu samego siebie. Jego życie instynktownie walczy z powszechnym absurdem. Z konieczności musi zerwać z wszelką tradycją. Nie rozumiemy go nigdy, jeżeli będziemy wierzyli w Boga, a nie we wszechpoczątkowy chaos”.

Sukcesy kabaretu Voltaire spowodowały że Hugo Ball i jego przyjaciele artyści otworzyli w Zurychu galerię nowoczesnej sztuki — „Galeria Dada”, w której wystawiano dzieła futurystyczne i kubistyczne. Cieszył się szalonym powodzeniem i zawsze była przepelniona entuzjastami nowych kierunków. Ten dziwny entuzjazm publiczności sprawił, że w przesornej umysłowości Hugo Balla zaczął kiełkować bakcył wątpliwości, czy rzeczywiście idzie we właściwym kierunku. Wkrótce doszedł do wniosku, że się pomylili, że trzeba podjąć drogę na nowo. Rzucił więc przyjaciół, powodzenie i bez grosza przy duszy wyjechał z Zurychu.

W nowym otoczeniu bardziej krytycznie spojrzął swemu życiu w oczy. Doszedł do wniosku, że ani teatr, ani nowa sztuka nie zadowolili go całkowicie — wrócił do filozofii, do przerywanych studiów naukowych. W Bernie rozpoczął pracę nad podstawo-

wym swoim dziełem, w którym rozprawił się z duszą własnego narodu. Nie jako anarchista burzący porządek życia, lecz jako trzeźwy uczytelni poddał analizie charakter niemieckiego nacjonalizmu i z nim związane wszelkie formy militarystyki. Wszelkie duszy niemieckiej odkrywał bez osłonek. Tak powstało dzieło, które wywołało szalony sprzeciw ze strony Niemców, znane pod tytułem „Zur Kritik der deutschen Intelligenz”.

Dla Hugo Balla Niemcy nigdy nie znalazły prawdziwej wolności sumienia, zawsze opanowane ideą żądań niesprawiedliwych w stosunku do innych narodów. Zamiast stać się członkiem w wielkiej rodzinie narodów Niemcy, opanowani manią wielkości, nigdy nie budowali pokoju na ziemi, przeciwnie, byli zawsze jego burzycielami. Czyż wielcy filozofowie niemieccy nie wątpili w swój naród Hölderlin i Nietzsche i Heine — wszyscy głoszą mniej więcej to samo...

Książka wywołała wielkie sprzeciw, autora uważano za zdrajcę narodu, bojkotowano go we wszelki możliwy sposób. A był to okres prawdziwej nędzy w życiu Hugona jednak nawet brak chleba nie złamał jego mocnego charakteru. Gdy wydawcy francuscy zwrócili się do niego o pozwolenie tłumaczenia jego pracy na język francuski ofiarowując mu wspaniałe honorarium, nie zgodził się, mówiąc, że napisał to wyłącznie dla Niemców, a nie dla rojenia majątku.

Na początku 1920 roku Hugo Ball poślubił Emmę Hennigs i oboje, po wielu latach tułaczki, wrócili do Niemiec. Najpierw zatrzymali się w Pirmasens, potem udali się do Flensburga, miejscowości rodzinnej p. Hennings. W Hamburgu, w lipcu 1920 roku, Hugo Ball wziął czynny udział w zjeździe niemieckiego towarzystwa pokoju i to było jego ostatnie wystąpienie na arenie politycznej. Od tej pory miał się już całkowicie poświęcić pogłębianiu życia religijnego w sobie, które wbrew wszystkim pozorom i przeciwnościom narastało w nim ciągle w miarę kontynuowania poważnych studiów filozoficznych, w ich krytycznym oświetleniu tej pory.

Umiał przyznać się do wszystkich swoich porałek i wyciągnąć z nich konsekwencje. Chciał odrodzenia wewnętrznego kraju przez wprowadzenie Boga do życia swojej ojczyzny i w oparciu całego życia o Jego Mądrość, Wszchmoc i Miłosierdzie.

Bez Boga można walczyć o zdobycie pieniędzy, ale nie o ideały. Bez odnowienia życia religijnego żadne głębsze odrodzenie narodu nie jest możliwe. Ci, którzy występują w imię ludu i o jego prawa muszą sami posiadać umiejętność poniesienia ofiar...

W tymże roku 1920 Hugo Ball uklęknął przed konfesjonalem i wyspowiadał się z całego życia, by potem razem z żoną przystąpić do Komunii św. Powrót do Boga, do Kościoła, przyniósł mu nareszcie upragniony spokój wewnętrzny i rozwiązanie problemów, z którymi poprzednio borykał się daremnie. Z całym zapalem zabrał się teraz do studiów, które uwieńczone zostały wspaniałym dziełem naukowym pt. „Bizantynische Christentum”. Całe katolickie Niemcy przyjęły z entuzjazmem, a według opinii Hermana Hesse, jest to praca przerastająca inne, książka prawdziwie wierzącego katolika.

Stan niezbyt mocnego zdrowia, pod wpływem nędznych warunków życia i wielu szarpiących spokój przeżyć pogarsza o tyle, że konieczny jest wyjazd do zacisznej miejscowości w Szwajcarii. Tam w towarzystwie żony i córki zastał Balla rok 1924. Państwo Ball postanowili na cały Rok Święty wyje-

POŚWIĘCENIE KOLEGIUM W FAWLEY COURT

Poświęcenie Polskiego Kolegium Ojców Marianów w Fawley Court było planowane w czasie pielgrzymki czerwcowej, kiedy to zjechało się tam ponad cztery i pół tysiąca pielgrzymów na zakończenie Roku Maryjnego. Jednakże, z powodu przyjazdu Kardynała Wyszyńskiego do Rzymu, okazało się niemożliwe przybycie w tym terminie Arcybiskupa Józefa Gawlina do Anglii, wobec czego uroczystość odłożono do niedzieli 14 lipca. Tak osoba Czcigodnego Gościa, jak i sama uroczystość ściągnęła w tym dniu do Fawley Court świetne grono osobistości reprezentujących nasze życie religijne i społeczne w tym kraju, z księżmi infuletem B. Michalskim i prałatem W. Stanisławskim.

J. E. ks. arcybiskup Gawlina był po raz pierwszy gościem Zakładu, toteż witano go i uroczystość i serdecznie. Budynek był przybrany flagami w barwach papieskich, polskich, węgierskich i angielskich.

Po odśpiewaniu przez chłopców hymnu „Ecce Sacerdos Magnus” przełożony Zakładu, ks. Józef Jarzębowski wygłosił krótkie przemówienie powitalne.

Po dokonaniu aktu poświęcenia Kolegium odprawiona została Msza św. pontyfikalna, w czasie której ks. Arcybiskup nawiązując do obowiązków pełnionych z niezwykle wysokim poczuciem odpowiedzialności przez Zakład, mówił o innych także obowiązkach, które emigracja polityczna ma przed sobą. Wszystkie one są tak ważne, że uzasadniają całkowicie nasze pozostawanie poza Krajem, nie mówiąc już o względach natury ściśle politycznej. „Na pewno jesteśmy i będziemy nadal potrzebni Krajoji”, a to co tu podejmujemy, jest pełnieniem wiernej służby dla Kraju i źle czynią ci, któ-



J. E. KS. ARCYBISKUP JÓZEF GAWLINA w czasie swej wizyty u Ojców Marianów w Fawley Court, w dniu 14 lipca, rozmawia serdecznie z wychowankami Zakładu.

ry usiłują wiarę w celowość tych poczynań podważyć...

Po południu odbyła się uroczystość Bierzmowania, od którego przystąpiło około 100 osób, w czym kilkanaście osób dorosłych, a reszta dzieci. Ks. Arcybiskup zakończył Bierzmowanie krótkim przemówieniem, w którym podkreślił ważność obowiązków płynących z Sakramentu Bierzmowania, przy tym, jako Opiekun Uchodźstwa, wyraził radość, że widzi przed sobą tyle pol-

skich dzieci garnących się do Sakramentów Bożych.

Ksiądz Arcybiskup zwiedził sale szkolne i urzędzenia zakładowe, poświęcając najwięcej czasu Muzeum Maryjnemu, którego zbiory są przedmiotem słusznej dumy o Jarzębowskiemu.

Uroczystość zakończyła udzieleniem arcybiskupowskiego błogosławieństwa, przeznaczonego zarówno dla obecnych jak i nieobecnych Polaków z terenu Anglii.

PYCHA ŻYWOTA (Dokończenie ze str. 8)

skutek lekarstwa da pierwsze objawy w dwadzieścia cztery godziny. Noc i dzień. Diabło mało czasu. A nie mógł przecież czekać aż sprawdzą się te słowa — głupie ludzkie słowa — bo to już nie weterynarza była rzecz. Sprawa skrzydlatego przybysza. Rade Mark. Zostać, znaczyliby nie dowierzać mu, chcieć sprawdzić... Lęk go chwycił przed tym jak kudłaty zwierz.

Zostawała jeszcze sprawa gwiazd. Dose już ich matactw, ich przeciwności. Już dosyć. Tego wieczoru już nie będą się więcej z niego naigrawać.

Rzeczy spakował — niewiele było tego pakowania — potem pożegnał się z krowami, potem odszukał gospodarza. Ten niczego nie mógł zrozumieć.

— Coście dawali krowom, mówicie?...

— Ziele wężowe zadawałem, żeby były zdrowe... U nas zawsze tak robią, gdy bydlę pociągnie chorować. Ale widać tu we Francji to jest inaczej. Stąd może tylko szkoda na zdrowiu... Kwitnie toto tak samo, tom myślał, że dobrze robię...

Długo chłop nie mógł pojąć zanim wpadł w złość. Krzyczał, policja groziła, na Polaków wymyślał, że ciemni i głupi i że rękę kasają co im chleb daje, straszne słowa mówił, zaplął się od pasji. Uriaż słuchał tego wszystkiego spokojnie — przewidywał przecie, że tak będzie — i cieszył się. Tylko nie spojrzę jeszcze na niebo, jeszcze wytrzymać, do wieczora niedaleko. Zgarnął na siebie zło swoich odwróconych gwiazd, które go opuściły i kłamał, im na pohybel, ładacz-

chać do Włoch. Pielgrzymka do świętego miasta stała się koroną i pogłębieniem nawrocenia. Wyzbył się resztek wątpliwości, całą swą inteligencję i wiedzę złożył w ofierze: Kościołowi, który zawsze stoi nietknięty i nie skażony w swoich dogmatach.

W Szwajcarii uproszono go o napisanie pracy biograficznej z powodu pięćdziesięciolecia urodzin jego przyjaciela, wielkiego pisarza współczesnych Niemiec, Hermana Hesse. Najlepszym dowodem jak ceniono sobie tę pracę jest to, że w roku 1948 uczczono Hermana Hesse w jego siedemdziesiątą rocznicę urodzin wydaniem drugiego nakładu biografii, napisanej w roku 1928 przez Hugona Balla.

Ta praca biograficzna była ostatnim dziełem jego życia. Złożony choroba raka, po nieudanej operacji, pogodzony z Bogiem, umarł na rękach żony we wrześniu roku 1929, mając zaledwie 41 lat. Tych kilku lat po swym nawróceniu nie zmarnował i nie poszedł przed tron Boga z pustymi rękoma. Był przekonany, że zyskał dla Boga wiele dusz, jeżeli nie sobie współczesnych, to — wierzył — że następnego pokolenia niemieckie pociągnie za sobą do lepszego życia, ofiarowując im w swych książkach pokój ducha zamiast chaosu, w jakim ludzkość pogrąża się coraz głębiej.

Bibliografia:

Hugo Ball — Zur Kritik der deutschen Intelligenz, Berne, 1919.

— Bizantynische Christentum. Munich, 1924.

— Herman Hesse. Sein Leben und sein Werk, Berlin, 1927.

LUDZIE I ZDARZENIA

Baron Jakub de Rothschild, który zmarł niedawno w Wielkiej Brytanii, zrobił w testamencie swym zapis sięgający około 10 milionów funtów, na rzecz skarbu państwa Izraela. Półtora miliona funtów ma być przeznaczonych na wybudowanie gmachu parlamentu izraelskiego, który obecnie zbiera się w na pół zrujnowanym budynku jakiegoś banku.

*

Obozy koncentracyjne czerwonych Chin są przedmiotem „Białej Księgi” wydanej ostatnio staraniem Międzynarodowej Komisji mającej za cel walkę z systemem obozów koncentracyjnych. Księga zawiera m. in. stenogramy obrad Komisji, jakie toczyły się przed kilku miesiącami w Brukseli. Konkluzja ich, która stwierdza z całą pewnością istnienie w Chińskiej Republice Ludowej obozów pracy przymusowej, do których bez sądu zsyła się przeciwników politycznych reżymu, oparta jest między innymi na zeznaniach pp. Liang-Jug-czanga, przedstawiciela Chińskiej Federacji Pracy, Fug Hoi-cziu, sekretarza Rady Zw. Zawodowych w Hong Kongu oraz ojca Bonnichon, który świadczył w imieniu 89 dawnych misjonarzy katolickich wygnanych z komunistycznych Chin.

Na Jawie wybuchły przed kilku dniami gwałtowne demonstracje antykomunistyczne. Jednej tylko nocy w stolicy Indonezji Dżakarcie zniszczono przy użyciu granatów ręcznych biura sekretariatu partii komunistycznej oraz lokal kontrolowanej przez komunistów Federacji Pracy. Na zdjęciu naszym uzbrojony policjant indonezyjski ogląda wyrządzone wybuchem szkody. Tłem do tych wystąpień była — jak się domyślamy — agitacja polityczna poprzedzająca wybory samorządowe. Pomimo wrogich przeciw nim wystąpień, komuniści, którzy mocno usadowili się w administracji i wojsku nowej republiki już w chwili oczyszczania kraju z okupantów japońskich, a następnie wycofywania się Holendrów — odnieśli w wyborach na Jawie zdecydowane zwycięstwo.

*

Harkasi, specjalne oddziały armii francuskiej w Algierii, złożone z muzułmanów, wzięli w tym roku udział w defiladzie na Polach Elizejskich w dniu 163 rocznicy zburzenia Bastylii. Żołnierze tych formacji (nasze zdjęcie) darzeni są szczególną nienawiścią swych współwyznawców spod znaku tzw. Frontu Wyzwolenia. Już wieczorem dnia defilady dwóch spośród nich zamordowano w jednej z „północno-afrykańskich” dzielnic Paryża.



Rząd Argentyny ogłosił w tych dniach dekrety o upaństwowieniu dwóch zagranicznych to-

warzystw finansujących produkcję energii elektrycznej. Chodzi w tym wypadku o spółkę S.O.F.I.N.A., opartą przede wszystkim o kapitały belgijskie i amerykańskie oraz o Tow. Italo-Argentyńskie, o przewadze kapitału włoskiego. Dekrety wyłączone mają być wprowadzane w życie stopniowo, do roku 1962.

*

„Whisky Gold King” ma jedynie nazwę angielską. Jest to bowiem napój produkowany masowo w Czechosłowacji, a przeznaczony na mało wydredne rynki zagraniczne. Znaczne ilości tego płynu pokazały się ostatnio w miastach Egiptu przy akompaniamencie hałaśliwej reklamy, która m. in. głosi, że wódka ta odniesie walne zwycięstwo nad oryginalną szkocką whisky, podobne do zwycięstwa militarnego i ekonomicznego, jakie Egipt odniósł nad imperialistami z Zachodu. No, jeśli tylko taki będzie ten czesko-egipski spirytusowy „Sieg”, to skoccy producenci mogą spać spokojnie.

